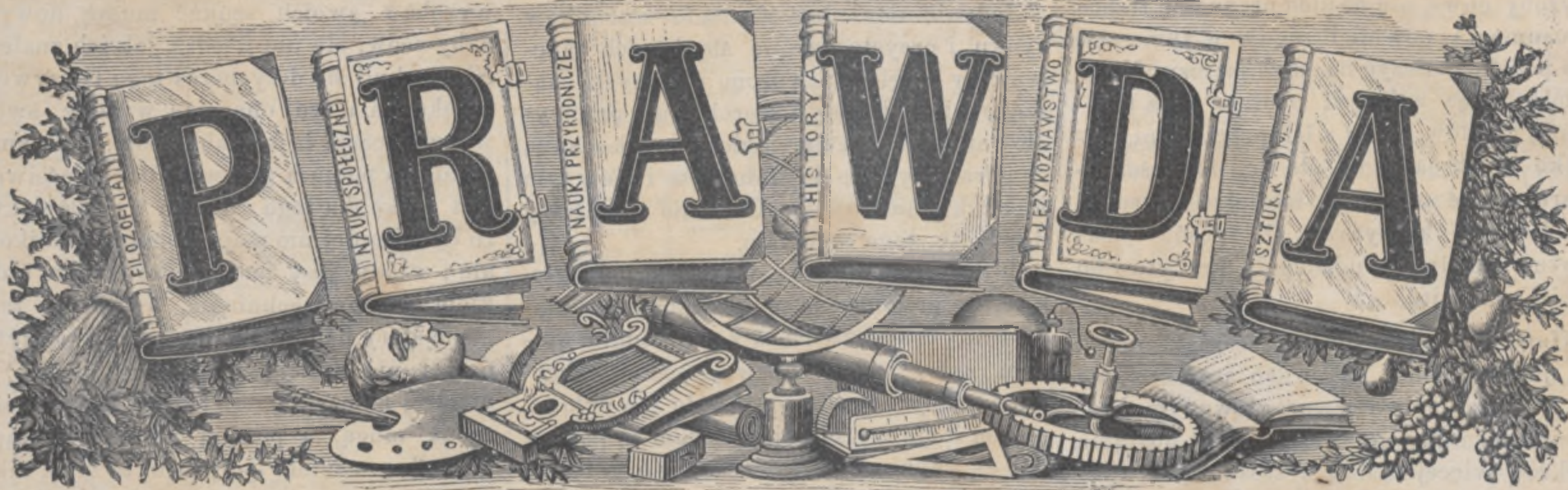
№ 30. Warszawa, dnia 25 (13) Lipca 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POSZUKIWANIE RYNKÓW.

Gdyby nawet jedynym rezultatem wystawy było postawienie i rozumne skierowanie sprawy, roztrząsanej na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa przemysłu i handlu, można śmiało powiedzieć, że koszta jej urządzenia opłaciły się. Rzeczywiście, wynalezienie rynków zbytu — to kwestya życia lub śmierci dla naszego przemysłu, w tej formie, w której dziś istnieje i której bez straty dla ogólnej sumy wytwórczości i bez przewrotów ciężkich nie zmieni. Młodociany przemysł Królestwa, otoczony z południa i zachodu przez starszych i bardziej wyrobionych współzawodników, znaleźć może jedynie ujścia w Cesarstwie, a rozumiemy pod tą nazwą i prowincye azyatyckie Rosyi.

Pomimo przeświadczenia o konieczności szukania dróg nowych, nic prawie nie zrobiono dotychczas dla należytego wyświetlenia stanu rzeczy, mniej zaś jeszcze, jeżeli to być może, dla utorowania odpływu wytworom przemysłu krajowego. Przypadek tylko lub inicyatywa jednostek, często niewłaściwie skierowana, wprowadzały wyroby nasze na targi rosyjskie.

Jakkolwiek dzienniki nasze zajmowały się w pewnych odstępach czasu dosyć gorliwie tą sprawą, wyznać trzeba, że nawet teoretycznie nie została ona należycie wyświetloną. Luźnie wygłoszone zdania sprowadzić się dają do dwóch poglądów. Jeden, oparty na zasadzie pod pewnym względem słusznej, że należy liczyć na te tylko rynki, których posiadanie jest zapewnionem, powiada, iż przemysł nasz, gdyby nawet zdołał wytrzymać współzawodnictwo z fabrykami rosyjskiemi, korzystającemi z tańszych sił roboczych oraz pomocy rządowej i bliższemi miejsc zbytu, to w jednej chwili może być skasowanym i ograniczonym, bądź to za pomocą granicy celnej, bądź przez zaprowadzenie różnic taryfowych itp. środki. Drugi zaś pogląd grzeszy nadmiernym optymizmem: według niego bowiem rynki rosyjskie stoją otworem i czekają tylko na zdobywców nadwiślańskich, nowa Ameryka wygląda z upragnieniem Kolumba, któryby ją odkrył. Wyznać trzeba, że za pierwszem zdaniem przemawia więcej argumentów, że byłoby ono zupełnie słusznem, jako przestroga dla rodzącego się przemysłu, która uchroniłaby go od wielu strat i złudzeń. Ale przemysł nasz istnieje, rozporządza znacznymi kapitałami, zatrudnia setki tysięcy rąk i wyrabia o wiele więcej, aniżeli spożycie miejscowe zapotrzebować może. Bez strat dotkliwych dla dobrobytu kraju, bez ruiny przedsiębiorców i ogłodzenia robotników nie może już on dziś zmniejszyć swej wytwórczości, lecz co najwyżej zatrzymać ją na pewnym poziomie, przy którym jednak zbyt do Cesarstwa jest koniecznym. Pod groźbą więc katastrofy oprócz miejscowych szukać musimy innych rynków, ale obok tego zmieniać powoli charakter produkcyi i jedynie rozwijać te jej rodzaje, które znajdują przyrodzone warunki powodzenia, to jest te, które albo nie mają i mieć nie będą współzawodników w Cesarstwie, albo też z natury rzeczy zyskają nad nimi przewagę. Rozumie się, że np. doskonałość wyrobu lub brak w Rosyi pewnej gałęzi przemysłu, może czasowo zapewnić fabrykantom naszym powodzenie i to nawet dość znaczne, na trwałość jego wszakże liczyć niepodobna.

Z powodu podobieństwa warunków fizycznych, tożsamości politycznych i równoczesnego powstania oraz równomiernego mniej więcej rozwoju wytwórczości liczba tych gałęzi przemysłu, które spodziewać się mogą, jeżeli nie monopolu naturalnego, to przynajmniej widoków współzawodnictwa zwycięzkiego — musi być bardzo ograniczoną. Dokładne wyjaśnienie tej strony kwestyi dostarczyć może dopiero wskazówek do rozwiązania jej w tym lub innym kierunku.

Uznając doniosłość, a nawet konieczność ekonomiczną rozszerzenia rynków zbytu dla wyrobów przemysłowych, kładziemy szczególny nacisk na powyższe względy, sprawa bowiem wchodzi na tory niewłaściwe, które doprowadzić mogą do zawodów, albo nawet do bankructwa.

Rozprawy w Towarzystwie zachęty przemysłu i handlu dotyczyły dwóch punktów: 1) czy reklamowanie produkcyi krajowej na rynkach Cesarstwa jest potrzebnem — i jeżeli tak: 2) to jakie w tym celu wybrać należy środki.

Już w samem postawieniu kwestyi widoczny jest wspomniany wyżej optymizm i właściwa przemysłowi naszemu zarozumiałość (a może niedbalstwo), lekceważąca nabywcę, której zdaje się zawsze, że sprzedając towar wyświadcza kupującemu łaskę. Pp. obradującym zdawało się widocznie, że nabywcy rosyjscy oczekują ich z upragnieniem i dość jest zarekomendować się, a potem czekać spokojnie na zamówienia. Obrady więc toczyły się o to tylko, jaki jest najodpowiedniejszy sposób owej rekomendacyi. Przy tej okoliczności wspomniano nawiasem o usiłowaniach anglików i niemców, szkoda, że nie szczegółowiej, z nich bowiem należało brać wzory.

Zdrowy rozsądek wskazuje, że przedewszystkiem poznać należy zapotrzebowa-

nia rynków, nie zaś występować z ofertą na oślep. Zapewne, można wprowadzać wyroby nowe, ale do nich przyuczać trzeba konsumenta powoli i nigdy w tym razie nie podobna liczyć na zbyt szerszy. Należałoby więc najprzód obeznać się z topografią rynków, dalej z ich potrzebami, nietylko co do jakości, ale i co do ilości towaru, wziąć na uwagę istniejące warunki handlowe i kredytowe tj. sposób i czas zbytu, możliwość udzielania kredytu i do jakiej sumy itd.

Handel prowincyonalny rosyjski opiera się, jak wiadomo, na bardzo szerokim, ale też i bardzo mało zagwarantowanym kredycie; rozmiar jego oraz łatwość dostania stokroć więcej znaczą w stosunkach wzajemnych fabrykanta i kupca, aniżeli jakość towaru. Agenci angielscy zwykle wchodzą w bezpośrednie zetknięcia z kupcami, omijając hurtowników, prawda, że działalność ich dotyczy najczęściej nabywania produktów rosyjskich, ale sądzę, że i w dziedzinie zbytu związki bezpośrednie byłyby daleko korzystniejsze i większy zysk sowicie opłaciłby kłopoty.

Ważnem jest również jak najdokładniejsze poznanie potrzeb miejscowych, do których należy stosować wyroby, oraz przyzwyczajeń, których odrazu zmienić nie można. Do tego wszystkiego pożądani są agenci odpowiednio przygotowani, posiadający wyborną znajomość handlowej geografii Rosyi i uzupełniający wskazówki teoretyczne obserwacyami szczegółowemi. Istnieją w języku niemieckim specyalne mapy i notatniki przeznaczone dla agentów, ci jednak nie poprzestają na tem, ale zbierają troskliwie najrozmaitsze informacye. Oprócz agentów pośredniczących i załatwiających interesy bieżące, spotkać można agentów-podróżników, którzy dopiero badają grunt dla przyszłych działań. Są to, rozumie się, ludzie przygotowani do swej działalności nie tak, jak przypadkowi pośrednicy naszego przemysłu, o których pomiędzy polakami zamieszkałymi w Rosyi krążą setki anegdotek wesołych.

Jedynie dokładne zbadanie warunków rynku i przystosowanie się do nich zapewnić by mogło wytworom przemysłu naszego zbyt trwały i szeroki; ale przemysłowcy nasi trwają ciągle w przekonaniu, że góra przyjdzie do Mahometa i nic w tym kierunku nie czynią. Ostatnie rozprawy dowiodły tego wyraźnie.

Wszyscy zebrani zgodzili się jednogłośnie, że przemysł nasz powinien się reklamować, w porównaniu z poprzednim stanem rzeczy jest to zapewne postęp, fabrykant raczył zejść z piedestału i wygłosić: oto są moje wyroby, jeżeli wam są potrzebne — kupujcie je. Spierano się o to tylko: jak najlepiej reklamować, czy za pośrednictwem agentów, czy za pomocą wydawnictw. Drugie zdanie zwyciężyło, chociaż jego przeciwnicy wskazywali bardzo słusznie, że kupcy rosyjscy nie czytają prawie wcale i że wogóle reklamy piśmienne mają w tym wypadku bardzo małe znaczenie. Poważnie bardzo przemawiał w tym właśnie duchu p. Handtke, chociaż i on nie położył nacisku na konieczność zapoznania się z potrzebami rynków. Zdanie to wypowiedziane było tylko luźnie w toku rozpraw, które zakończyły się projektem wydania przewodnika w języku rosyjskim, zawierającego krótkie wiadomości o zakładach przemysłowych Królestwa. Znaleźli się tacy nawet gorliwi zwolennicy reklamy, którzy pragnęli wydawać w Warszawie pismo, przeznaczone dla kupców rosyjskich, zapominając o tem, że tego rodzaju wydawnictwa miejscowe upadają zawsze dla braku czytelników.

Ten koncept oddziaływania za pomocą literatury, nazwaćby można śmiesznym, gdyby nie był on — nierozumnym i niewłaściwym.

Rozprawy powyższe robią smutne wrażenie, okazuje się bowiem, że przemysłowcy nasi nie posiadają ani zdolności, ani energii potrzebnej dla przeprowadzenia tak doniosłego dzieła. Czują oni, że dla wyrobów swoich szukać muszą nowych nabywców, ale nie wiedzą, jak ich znaleźć. Nie pozbyli się dotychczas tego fałszywego przekonania, że ofiarując wyroby swoje wyświadczają łaskę nabywcom. Reklamowanie za pomocą przewodnika właściwem jest tylko dla tego rodzaju wyrobów, które bynajmniej nie mają współzawodników, ale i wtedy jest ono bardzo słabym środkiem rozpowszechniania, zwłaszcza tam, gdzie sfery handlujące bardzo często czytać nawet nie umieją. Zdaje się jasnem, że pierwej należy się dowiedzieć, czego od nas żądać mogą, a później dopiero wystąpić z zaofiarowaniem — prosta ta myśl nikomu jednak nie przyszła do głowy. Błędem również jest uważanie Rosyi za jeden wielki rynek, kiedy tymczasem warunki topograficzne i społeczne dzielą ją na różne ekonomicznie terytorya i często bardzo w jednem z nich przemysł nasz może mieć przewagę, w drugiem zaś nie znaleźć nawet na kopiejkę zbytu. Szczególniej zaś stosunki społeczne, wpływające na odmienny układ handlowych winny być szczegółowo zbadane. Dosyć powiedzieć, że w większej części Rosyi jedynym prawie nabywcą jest chłop i handlujący zależą od jego potrzeb i gustów. Przykładem naiwności, która doprowadzić może do smutnych rezultatów jest poparcie, jakie znalazł p. Szygaryn, którego ofiarę Towarzystwo odrzuciło wprawdzie, ale przyrzekło mu swoją protekcyę.

Ale dosyć tych uwag, zbytecznych zresztą, cała bowiem sprawa, chociażby najrozsądniej prowadzona, odpowiednich rezultatów nie wyda, gdyż stoi na fałszywym gruncie. Nie mamy nic przeciw wydawaniu przewodnika, pomysł ten dziś nawet przynieść może pewną korzyść, chociaż w języku rosyjskim istnieje już od lat kilku p. t. *Ukazatiel fabrik i zawodow*, w którym na 754 stronnic, Królestwo

---

6)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

Eurypides.

Legenda mówi dalej, że Zeus, chcąc za winę Prometeusza zemścić się na wszystkich ludziach, zesłał im czarującą dziewicę, która, mając puszkę napełnioną rozmaitemi nieszczęściami, otwiera ją ciągle a zamyka wtedy, gdy z niej chce wybiedz zwodna nadzieja. Pandorą jest każda kobieta i w twoich dopiero rękach, Aspazyo, nie widzę złowrogiej puszki, lecz dobroczynny róg obfitości. Całuję te ręce (*całuje*).

Aspazya.

Rówieśnicy łatwiej się rozumieją: ty się też ku mnie zbliżasz a Sofokles oddala.

Sofokles.

Nie, Aspazyo, żałuję tylko, że za wami nie podążę.

Diotima (*do Eurypidesa*).

Jedna z Pandor, Diotimą zwana, ciekawa jestem wiedzieć, jakie nieszczęście sprowadziła na świat twoja matka, urodziwszy ciebie?

Eurypides.

Co najmniej krzywdę dziesięciu ludzi, bo za tylu piję wino.

Diotima.

Dla czego się ożeniłeś?

Eurypides.

Dla tego, ażeby żonę pomimo trzech synów wypędzić.

Aspazya.

Istotnie?

Eurypides.

Śliczną i cnotliwą Choirinę a moją małżonkę może od wczoraj każdy poślubić, kto chce mieć licznych przyjaciół domu. (*do Diotimy*) Jeśli zaś poznasz, obywatelko, jakąś niewinną dzieweczkę, której będę miał zaszczyt oko zaprószyć, to proś ją, ażeby mi pozwoliła choć krótko po pierwszej odpocząć.

Diotima.

Ja pozwalam.

Teora i Filezya.

Jak najdłużej.

Leja.

Za mężczyzną, którego jedna kobieta opuściła, inne się nie spieszą. Pod tym względem istnieje między nami solidarność.

Eurypides.

Nietylko pod tym. Jesteście do siebie podobne jak cytryny: jedna od drugiej ma grubszą lub cieńszą skórkę, ale wszystkie kwaśne i cierpkie. Natura, tworząc was, nie wysiliła się na rozmaitość — zrobiła dwie formy: brzydką i piękną, które kolejno napełnia mieszaniną obłudy, złości i niskich pożądań. Czasem myli się i w formy te wkłada z doskonalszych pierwiastków przygotowany materyał męski — i wtedy powstaje Safo, Aspazya lub jakaś inna omyłka natury.

Diotima.

Nazajutrz po wypędzeniu żony trudno być łaskawszym dla kobiet. Za rok będziesz jednej z nas mówił inaczej...

Eurypides.

Nie.

Diotima.

Nawet do ucha?

polskie zajmuje 178. Słownik ten opracowany przez p. Orłowa na podstawie specyalnych danych podaje bardzo dokładne informacye dla czytelników rosyjskich. Nie otworzy on jednak wytwórczości naszej swobodnych i szerokich odpływów. Potrzeba więc przekopać nowe kanały, potrzeba istniejące pogłębić, ale dla określenia kierunku ich sieci zbadać najprzód warunki miejscowe. Nadewszystko zaś wyrzec się należy tego błędnego mniemania, że nie my nabywców, ale oni nas szukać powinni. Jakie zaś to poszukiwanie rynków przybierze formy, czy agentur, czy domów komisowych lub składów zbiorowych — to inna rzecz. Ale i dla wybrania odpowiedniej formy znajomość warunków miejscowych jest również konieczną. Smutne to, że takie oklepane prawdy trzeba jeszcze przemysłowcom naszym wskazywać.

J.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 14 lipca.

Ciągle wzruszenia. — Odnowienie ugody z Węgrami. — Czego żąda brat bliźni? — Zamach na samoistność Austryi. — Jeszcze o normalnym dniu pracy i święceniu niedzieli. — Z dziedziny antisemityzmu. — Dr. Justus Izydor Brimanus. — Z posiedzenia akademii umiejętności. — Cud nad cudami!

Pomimo nieznośnych upałów i wyludnienia miasta, znajdujemy się ciągle w pełnej czynności, a nie brak nam najróżnorodniejszych wzruszeń. W politycznym kotle skwierczy i wre bez przestanku, chociaż zdawało się, że po burzliwej i długiej kampanii wyborczej nastąpi przynajmniej zawieszenie broni i że spokój zapanuje na widowni polityczno-społecznej. O tem atoli niema mowy. Po wyborach wybuchło dopiero ruchliwe życie, kiedy rozmaici nowi posłowie zaczęli w długich, często bardzo namiętnych mowach dziękować „swoim wyborcom.“ Deklamacyi tej wtórował zawsze silny chór polemiki dziennikarskiej, co razem sprawiało wiele wrzawy. Ale zaledwie tony tego hałaśliwego melodramatu politycznego przycichły, zaznaczyły się krwawo na kartach kroniki dziennej rozruchy robotnicze w Bernie, później przyszły wyzywające demonstracye śpiewaków niemieckich w temże mieście, przy czem pod łagodnemi rządami hr. Taaffego robili niemcy formalne obławy na czechów, których, gdzie tylko przydybali, bili i bezcześcili. Ze „złotej“ Pragi nadlatywały echa radości powszechnej z powodu przybycia tamże kilkuset czechów amerykańskich dla zwiedzenia teatru narodowego, których, rozumie się, przyjmowano serdecznie i ostentacyjnie. Prasie niemieckiej robiło się bardzo nie miło na widok czeskich Jazonów, przepływających ocean w pogoni za idealnem runem... miłości ojczyzny. Potem przyszły fatalne wieści z Welehradu, gdzie rząd austryacki, ażeby w każdym kierunku ujawnić swoją samoistność, odkrył za pomocą mikroskopu latające w powietrzu groźne dla zdrowia mikroby i—zakazał gościom z Galicyi i Poznańskiego, pomimo wszelkiej konstytucyi, przybycia do tej miejscowości. Teraz wynurza się nowa i to bardzo trudna sprawa polityczna, która trzyma w naprężeniu umysły milionów. Jest nią: odnowienie ugody z Węgrami. Do tego przedmiotu, który nosić będzie na sobie wszystkie znamiona „węża morskiego,“ wrócimy jeszcze nieraz. Sporo bowiem upłynie czasu, zanim go gabinety obu „połów monarchii“ w porozumieniu z trzecim gabinetem „wspólno państwowym“ zdołają ubić. Dotąd mieliśmy tylko przygrywkę w formie wspólnych konferencyj ministeryalnych, na których przedstawiciele obu interesowanych rządów porozumiewali się ogólnie nad ugodą pomiędzy Austryą a Węgrami na nowych lat dziesięć, poczynając od r. 1888. Mimo „akademickiej“ strony rozpraw ministeryalnych, cień ugody zarysował się dość wyraźnie i, powiedzmy bez ogródki, bardzo groźnie. Nie ma jak dobrzy przyjaciele! Jeden nakłada haracz celny na wywóz austryackich surowych produktów, drugi ściślej z Austryą związany, jej bliźni-brat, przygotowuje się do formalnego rabowania jej przy odnowionej ugodzie. Ale czyż na tem koniec! Brat węgier posuwa swoją chciwość pieniężną tak daleko, że gotów jest dla marnego zysku sprzedać państwu niemieckiemu niezawisłość Austro-Węgier, żąda bowiem, przy utrzymaniu rozdziału pomiędzy Austro-Węgrami a państwem niemieckiem, zapewne tylko dla pozoru, utworzenia z obu państw wspólnej dzielnicy celnej na zewnątrz, tj. wobec zagranicy. Podobny związek oddałby Niemcom monarchię habsburską w zupełną zależność, nietylko ekonomiczną, lecz i polityczną, czego dalszych następstw trudno nawet przewidzieć. Sojusz celny austro-niemiecki opasałby się murem chińskim szalenie wysokich ceł ochronnych od zagranicy, przez co Węgry pozbyłyby się współzawodnictwa surowych płodów przywożonych z różnych państw do Austryi i Niemiec, a natomiast przy nizkich cłach pomiędzy Austryą a Niemcami zbywałyby po wysokich cenach swoje płody surowe, na koszt, rozumie się, przemysłu austryackiego, ponieważ przy nizkich cłach dla przywozu do Niemiec surowych płodów węgierskich musianoby jako odszkodowanie przyznać Niemcom znowu nizkie cła dla wywozu artykułów ich przemysłu do Austro-Węgier, co przy tańszej fabrycznej produkcyi w Niemczech zabiłoby niemal zupełnie bardzo liczne gałęzie przemysłu austryackiego. Na taki to wyzysk ekonomiczny Austryi wychodzą szlachetni wnukowie Arpada, gotowi poświęcić dla niego—całą przyszłość państwa.

O tym przedmiocie byłoby dużo jeszcze do powiedzenia, ale zostawiamy to na później, kiedy odnowienie ugody nastąpi.

W ostatnim liście mówiliśmy z powodu zaburzeń robotniczych w Bernie o normalnym dniu pracy i święceniu niedzieli, jako o przyczynie, która te rozruchy wywołała, przyczem uczyniliśmy uwagę, że skutkiem wadliwego ustawodawstwa austryackiego koszta tych potrzebnych reform ponosi lud pracujący. Nie chcielibyśmy, żeby nas źle zrozumiano i nie myślano, że występujemy przeciw samej rzeczy, t. p. przeciw normalnemu dniowi pracy i jednodniowemu wypoczynkowi w tygodniu, a dlatego musimy raz jeszcze wrócić do tego samego przedmiotu.

Dzień normalny pracy może tylko wówczas przynieść istotny pożytek klasie robotniczej i wogóle całemu społeczeństwu, jeżeli na podstawie międzynarodowych układów będzie we wszystkich państwach europejskich jednakowo określonym, mianowicie: co do ilości godzin—nie powinna

---

Eurypides.

Do ucha nie jednej z was mówić będę daleko wcześniej, niż za rok. Wcale kobiet się nie wyrzekam, bo nie mogę, tylko wiem, co warte.

Diotima.

Od wczoraj.

Eurypides.

Chcesz koniecznie obywatelko zrobić ze mnie zawiedzionego męża, złorzeczącego za swą krzywdę całej płci niewieściej — i chybiasz. Wprzód poznałem niewierność kobiet, niż ostrość brzytew. Zwykle kto bierze żonę, łapie i oswaja dziką kaczkę, która mu ucieka na sąsiednie bagno wtedy, kiedy sądził, że polubiła jego czysty staw. Żenić się wszakże trzeba, bo lepiej mieć swoją własność, chociaż wątpliwą, niż kraść cudzą. Ja bym nawet pozwolił mężowi mieć po kilka żon, ażeby one wzajemną zazdrością hamowały swe przyrodzone wiarołomstwo. Byłoby to dla nas kosztowniej, ale wygodniej. Mężczyzna nie może dopóty ufać kobiecie, dopóki ona z współzawodniczkami nie walczy o niego. Co do mnie zbłądziłem, bo nie zachowałem tej ostrożności.

Diotima.

Niewątpliwie, masz prawo lekceważyć wszystkie, które cię pokochają.

Eurypides.

I te, które mnie nie pokochają. Jestem mężczyzną, więc tworem, przez który natura objawia swoje najwyższe potęgi — to dosyć, ażebym jak lew patrzał wzgardliwie na robaki, które go mogą szczypać, nawet stoczyć, ale nie posiadają jego siły i szlachetności.

Anaksagoras (*do Aspazyi*).

Mój uczeń, ale nie moja jego nauka.

Sofokles (*do Eurypidesa*).

Złym byłbyś bogiem, chociaż jesteś dobrym człowiekiem: dla zemsty naruszyłbyś harmonię świata...

Eurypides

Naprzód tak właśnie czynią podobno wszyscy rozgniewani bogowie, a powtóre owa mniemana harmonia istnieje tylko dla niewielu szczęśliwych. Dla ogółu ludzi świat — to stara, niedostrojona, łamiąca ustawicznie swe kółka maszyna, której naprawić nie można, bo odrazu źle była zbudowana. Najwadliwszą zaś jej sprężyną jest kobieta, która swą przewrotną miłością jak rdzą przeżera najtwardsze serca męskie.

Aspazya.

Rzuć klątwę, Eurypidesie, na arystokratyczną rozpustę, z której zepsutych piersi wyssałeś tę niezdrową gorycz, i zostań między nami, a znajdziesz kobiety uczciwe i będziesz je szanował. Wierzę ci, że znasz tylko przebiegłe żmije, boś innych w gnijącym zbytku nie widział; masz więc słuszność, ale z nią nie wychodź po za granice tej sfery, w której się urodziłeś, wychowałeś i rozczarowałeś.

Eurypides.

Na początku świata nie było arystokracyi, czemuż starożytne podania w pierwszym mężczyźnie przedstawiają ojca cywilizacyi, a w pierwszej kobiecie matkę niedoli człowieka?

Aspazya.

Początek świata zawsze ludzie tak zmyślają, jak dalszy jego ciąg chcą utrzymać. Ze wszystkich darów przyrody i łupów, jakimi mężczyzna zawładnął, żadnego nie zmarnował w tym stopniu, co kobietę. On gorzej się z nią obszedł, niż z ziemią, której płodność pomnożył, niż z drzewami, których owoce udoskonalił, ze zwierzętami, które w lasach łapał i hodował, bo nietylko wyzyskiwał jej pracę, ale przytępiał umysł i znieprawiał uczucia. Nasza szczepiona jabłoń bardziej swem ukształceniem przewyższa dziką, niż ucywilizowana kobieta — barbarzyńską. Mężczyzna spożywał sam dobrodziejstwa postępu, kobiecie dawał zaledwie jałmużnę; on szedł naprzód jak zakamieniały skąpiec, ona za

dzienna praca trwać dłużej jak dziesięć, a nie, jak w Austryi, jedenaście — jeżeli rozciągnie się na wszystkie gałęzie bez żadnych wyjątków i następnie oprze się na ściśle oznaczonych i szczegółowo rozwiniętych międzynarodowych taryfach płacy, podobnie jak traktaty handlowo-celne. W tych warunkach byłby normalny dzień dobrodziejstwem dla pracujących i ekonomicznie pożytecznym dla produkcyi i państwa, ponieważ wykluczałby wyzysk robotników przez fabrykantów, i usuwałby niebezpieczną konkurencyę przemysłu zagranicznego, który przy odmiennem ustawodawstwie mógłby taniej produkować. Rozumie się, że należałoby także w drodze międzynarodowej uporządkować, t. j. ujednostajnić taryfy celne i system podatkowy, gdyż tylko przy jednakowych cłach i równych podatkach może produkcya przemysłowa zejść na tory współzawodnictwa naturalnego, zależnego li jedynie od większej lub mniejszej zręczności, doskonałości i zdolności robotnika, od lepszego lub gorszego zarządu administracyi i pomysłowości fabrycznej, jako też od taniości i dobroci materyałów. Tak samo drogą międzynarodowego ustawodawstwa powinnyby pomiędzy państwami europejskiemi być uregulowane jednakowe taryfy kolejowe: osobowe i przewozowe, podobnie jak poczty i telegrafy.

Ale do czegoś podobnego jeszcze bardzo daleko, zwłaszcza w Austryi, gdzie na polu reform polityczno-społecznych brak doświadczenia, nauki i co najgłówniejsza, zamiłowania do pracy i poczucia sprawiedliwości. Jeżeli więc już tego, co powyżej zaznaczamy, trudno na razie żądać w monarchii Habsburgów, przy jej widocznym zastoju pod względem ustawodawstwa fabrycznego i robotniczego, to niechaj wolno będzie wymagać przynajmniej ścisłego przestrzegania tak zwanych „zasadniczych ustaw państwa,“ które tworzą podwalinę konstytucyi, a które przyznają ludowi pracującemu wolność stowarzyszania się. Gdyby ta swoboda istniała istotnie, a nie tylko na papierze, to i dzień normalny mógłby przynieść pracującym pożytek, ponieważ opierając się na niej, mogliby robotnicy sami określić taryfy płacy i nie byliby zdani na łaskę lub niełaskę pracodawcy, i bynajmniej nie potrzebowaliby uciekać się do wykroczeń lub zaburzeń. To samo stosuje się mniej więcej i do święcenia niedzieli, czyli właściwiej, do jednodniowego wypoczynku w tygodniu.

Antisemitom zaczyna się jakoś źle powodzić. Po głośnej i gorszącej sprawie Stöckera następują mniejsze, ale nie mniej ich kompromitujące, z których jedna rozgrywała się niedawno przed kratkami wiedeńskiego sądu karnego. Stöckerem austryackim jest praski profesor Rohling. On pierwszy podniósł w Austryi sztandar antisemityzmu, biorąc za podstawę kampanii Talmud, z którego wywodził szkodliwość i przewrotność żydów. Otóż nauczyciel Rohlinga i autor głośnej antisemickiej książki *Judenspiegel* dr. Justus Isidor Brimanus stanął przed sądem oskarżony o fałszerstwo publicznych dokumentów, przedsięwzięte bynajmniej nie w celach antisemityzmu, lecz dla osobistej korzyści. Kto jest dr. J. I. Brimanus, znany w całych Niemczech i w Austryi koryfeusz duchowy antisemityzmu?

Na to niechaj odpowie następujący ustęp z rozprawy sądowej: Sędzia pyta oskarżonego: „Jak się pan właściwie nazywa?“ Oskarżony: „Justus.“ Sędzia: „Ale pan masz jeszcze jedno nazwisko.“ Oskarżony: „Teraz nie.“ Sędzia: „Nie nazywasz się pan Aronem?“ Oskarżony: „Tak jest.“ Sędzia: „Dlaczegoż przezywasz się pan Justusem.“ Osk.: „Nazwisko to otrzymałem przy chrzcie.“ Sędz.: „Pan zwałeś się także Izydorem.“ Osk.: „Tak jest.“ Sędz.: „Czy ma to znaczyć Izrael?“ Osk.: „Tak jest.“ Sędz.: „Więc pan się zowiesz istotnie Aron Sem Izrael Briman.“

Wódz tedy antisemityzmu jest przechrztą. Urodził się w Jasach w Rumunii, gdzie po skończeniu chejderu i nauce Talmudu został rabinem, ożeniwszy się równocześnie. Ale spokojne życie snać go nudziło. Po kilku miesiącach rabinatu i małżeństwa uchodzi skrycie z Rumunii do Niemiec. Po pewnym czasie występuje w Würzburgu, gdzie zapisuje się na podstawie sfałszowanego świadectwa egzaminu dojrzałości na tamtejszą wszechnicę i równocześnie przyjmuje religię protestancką. W rok później zostaje katolikiem i przenosi swoją działalność „literacką“ do Altony i Berlina, gdzie zawiązuje ściśle stosunki z wpływowemi osobistościami stronnictwa antisemickiego i katolickiego. Na obstalunek jakiegoś księcia kościoła pisze *Judenspiegel*, który narobił w swoim czasie dużo wrzawy. Potem przenosi się do Austryi, zostawiając wszędzie po drodze upominki w formie długów. Tu zabiera znajomość z Rohlingiem, którego przez rok cały uczy Talmudu, następnie z arcybiskupami a w końcu zarywając pieniężnie rozmaite osoby, pomiędzy niemi swą „narzeczoną,“ zwraca na siebie uwagę policyi i zostaje przyaresztowany. Prokuratorya oskarżyła go jednak tylko o fałszowanie dokumentów publicznych (świadectwa egzaminu dojrzałości) a sąd skazał na dwa miesiące więzienia, koszta procesu i wydalenie z Austryi po odsiedzeniu kary. Ciekawa była to ze wszech miar sprawa, pozwalająca rzucić okiem za kulisy antysemityzmu, przypatrzeć się sprężynom ich działania, słowem zobaczyć przywódzców nietolerancyi rasowo-religijnej w negliżu, pomiędzy sobą. Dałoby się przytoczyć jeszcze kilka bardzo ciekawych szczegółów, ale na to brak nam miejsca.

Na ostatniem posiedzeniu filozoficzno-historycznego oddziału tutejszej Akademii umiejętności odczytał ziomek nasz dr. Jan Leciejewski, prywatny docent filologii słowiańskiej w tutejszej wszechnicy bardzo zajmującą rozprawę pod tytułem: „O fonetycznej wartości głoskowej nosowych samogłosek w staropolskim języku.“ Dalej przedstawił Salomon Buber ze Lwowa dzieło swe „Midrasch Tanchuma. Agadyjski komentarz „Pięcioksięgu.“

Miscemus profanis sacra. Przechodzimy do rzeczy świętych, do cudów, czyli, jak się jedno pismo klerykalne wyraża—do „groźnych znaków gniewu bożego.“ Rzecz dzieje się w dolnej Austryi, w miejscowości, skąd dawniej posłował klerykał, a skąd teraz wybrano „liberalistę.“ Działo się w tydzień po wyborach. Niebo było pogodne, słoneczne. Na raz chmurzy się widnokręg, zrywa się wiatr silny, wreszcie zaczyna padać deszcz—czerwony. Dziwo nad dziwy! Wyraźne krople krwi spadają z nieba na ziemię. Czerwonymi punktami pokrywają się obrusy w ogrodzie restauracyjnym, i ziemia w tej okolicy zaczyna się czerwienić. Ksiądz proboszcz nawołuje zbłąkane owieczki przy kazaniu do opamiętania, wskazuje na zagniewane niebiosa „krwią bryzgające“ i tłomaczy im „oczywisty gniew boży“ okolicznością, że w miejsce dawniejszego bogobojnego posła wysłali teraz „wolnomularza“ bez wiary do parlamentu. Lud w skrusze tarza się w prochu nagromadzonym na podłodze

---

nim jak pokorna żebraczka. W poniżeniu też zatraciła lepsze popędy a rozwinęła te, które jej niewolę czyniły znośniejszą. I ty żądasz, Eurypidesie, ażeby ona nie pełzała po ziemi, kiedy jej pozwolono tylko prześlizgiwać się przez szczeliny życia? Czy ty nie słyszałeś, co to jest w kobiecie wiedza, samodzielność, energia? Bunt niemoralny.

Eurypides.

A więc niech się buntują.

Aspazya

Mają tę odwagę wszystkie, które tu widzisz.

Diotima.

Pójdziesz ze mną jutro do teatru na tragedyę Sofoklesa?

Eurypides.

Z tobą? Alež to byłoby gorszącem...

Diotima.

Ha, ha, ha — to zuch! A nam każe się buntować.

Eurypides.

Pójdę.

Fidyasz (*do Aspazyi*).

Przejrzyj ten szkic Partenonu. Na wierzchu stoi bogini opiekunka miasta.

Aspazya.

Do mnie podobna?

Fidyasz.

Będzie jeszcze podobniejsza. (*do Eurypidesa*) Gdybyś był rzeźbiarzem, nie gniewałbyś się na kobiety. Powiadam ci, mają one czasem tak cudne kształty, że przy nich najzimniejsza cnota wyparuje. (*wchodzą Protagoras i Sokrates*).

SCENA 6.

Ciż, Protagoras i Sokrates.

Protagoras.

Pokłon dostojnemu areopagowi. Tyle tu rozumu Aten się skupiło, że trudno na ulicy spotkać rozsądnego człowieka. (*do Aspazyi wskazując na Sokratesa*) Sokrates, młodzieniec, który dotąd rzeźbił marmurowe głowy, a teraz chce rzeźbić ludzkie mózgi.

Aspazya (*do Sokratesa*).

Będziesz wielkim, Protagoras już nosi przed tobą twoją sławę, on, który mnie...

Protagoras.

Aspazyo, za jedną winę jedna kara: nauczyłem małego niewolnika czytać, jak żądałaś — nie powinnaś mi więc przypominać, że kiedyś wprzód cię obraziłem, niż poznałem.

Aspazya (*podając mu rękę*).

Tem bardziej, że dziś za obronę Peryklesa jestem ci wdzięczną. (*do Sokratesa*) Nikt mi o tobie dawniej nie wspomniał — z Aten pochodzisz? (*Sokrates milczy*).

Protagoras.

Mój towarzysz zaniemiał.

Aspazya.

Anaksagoras rad cię usłyszeć.

Eurypides (*do Sokratesa*).

Co tobie?

Aspazya.

Usiądź, Sokratesie.

Sokrates (*który ciągle wpatrywał się w Aspazyę, siada u jej stóp — błagalnie*).

Nie mów do mnie...

Aspazya.

Czemu?

Sokrates.

Nie mów... Duch, który mnie nigdy nie odstępuje i rady szepcze, odszedł i zabrał mi rozum. Ale on ośmieli się i wróci. Tak, Ateny ulepiły to dziwadło, wycisnąwszy mu brzydotę w twarzy, a cześć dla piękna w sercu. Koło potworu pląsają z szyderczym uśmiechem rozmaite czary ziemskie, których on do-

kościoła. Tymczasem przychodzi wytłomaczenie zagadki. Oto silny wiatr uniósł w powietrze z pobliskiej fabryki kolorowych wyrobów drzewnych około 200 kil. czerwonej mączki do farbowania, która znajdowała się zsypaną na kupie w podwórzu zakładu. Mączka ta zmięszała się z skraplającą się parą wodną i—spadła krwawym deszczem na ziemię. Taki to był cud!

S.

PARADOKSY.

II.

W ustępie dalszym, noszącym napis „Pogląd wstecz“ (Rückblick), autor opowiada wrażenia wyniesione z pewnego towarzystwa, wśród którego był zmuszony spędzić wieczór cały. Wróciwszy do domu żałował, że poszedł chyba po to, jak się wyraża, aby wśród zgiełku i upału wdychać w siebie powietrze, którego tlen poprzednio już użytym został przez ludzi powszednich, głupich lub obojętnych; oglądając się wstecz na minione godziny nie widział nic, prócz puszczy z rozsianemi po niej kilku wyschniętemi kośćmi wielbłąda i zdaleka słyszał głos szakala, dostrzegł ciemność, a wśród niej migocący wstrętny ognik zgnilizny... „Szelmą być trzeba lub idyotą—woła—aby dobrowolnie rzucić się w ten wir nieznośny, wyć z wilkami i ryczeć z wołami, wraz z sępem chwalić apetyczność padliny i indyczce prawić komplimenty o podniosłości jej ducha!“ Później atoli zdanie to zmienia, a do zmiany tej dochodzi drogą takiego mniej więcej rozumowania: Weźmy pewną liczbę ludzi najzwyczajniejszych, bez szczególnego wykształcenia duchowego, bez żadnej umiejętności fachowej, ludzi, którzy o niczem głębszej nie posiadają wiedzy, prócz takiej, jaką nabyć można z przelotnego przerzucania dzienników i rozmów kawiarnianych—i przypuśćmy, że wskutek rozbicia się okrętu osiedli na wyspie odludnej. Los tych Robinzonów, początkowo byłby gorszym, aniżeli dzikich. Nie nauczyli się bowiem korzystać z darów przyrodzonych, nie wiedzą, że można jeść, nie będąc obsługiwanym przez kelnera, że po za granicami rynków miejskich istnieją artykuły żywności i że do posiadania niezbędnych towarów galanteryjnych dojść można inną drogą, aniżeli kupowaniem w handlach kramarskich. Ale taki stan rzeczy trwałby niedługo. Prędkoby się nauczyli radzić sobie samym, najprzód we własnej istocie liczne poczyniliby odkrycia. Przekonaliby się, że w jednym z nich spoczywał wielki talent techniczny, w innym—filozoficzny, a jeszcze w innym—organizatorski. W ciągu lat kilkudziesięciu lub stu wysnuliby z siebie całą historyę rozwoju ludzkości. Każdy widział maszyny parowe, ale żaden nie zna ich ustroju, zastanawiając się uważnie, nauczyliby się w końcu je budować. Wszyscy słyszeli o prochu, ale żaden z nich nie wie, w jakim stosunku pomięszane są jego części składowe; pomimo to, niezadługo zaczęliby przygotowywać sobie zdatny do użytku materyał strzelniczy. I tak działoby się ze wszystkiemi naczyniami, narzędziami i czynnościami, wymagającemi wprawy. Ludzie, których w ojczyznie uważano za najbardziej poziome pospólstwo, tam byliby Newtonami, Wattami, Helmholzami, Graham-Bellami. Śród naszej kultury brakło im sposobności do rozwinięcia swych sił, wyspa odludna dała im tę sposobność. Życie cywilizowane nie wymagało od nich nic, prócz plotek, osłostwa i nieco gotowizny. Za tę ostatnią kupowali sobie, czego im było potrzeba i czego na kredyt dostać nie mogli, a plotek i osłostwa sami dostarczali podostatkiem. Konieczność zmusiła ich do powagi, głębokości i wynalazczości i oto—na to wszystko też zdobyli się w takim stopniu, że przymiotami tymi możnaby w każdej europejskiej stolicy wyposażyć wielkiego człowieka. Mądrość ludu trafne zrobiła spostrzeżenie, że człowieka najlepiej się poznaje na wojnie i w podróży. Dlaczego? Dla tego, że w tych wypadkach idzie on niezwykłą koleją, że musi wysilać całą swą pomysłowość i że z musu ujawnia zdolności, którychby w innym razie nikt w nim się nie domyślał nawet. Można prawie przyjąć za pewnik, że każdy zdrowo uorganizowany człowiek nosi w sobie zaród wielkiego bojownika cywilizacyi. Trzeba go tylko pobudzić, przynaglić go. Każdy wierzchołek drzewa może być zamienionym na korzeń, gdy je odwrotnie w ziemi osadzimy i w ten sposób zmusimy gałęzie liściem pokryte do wsysywania pokarmu z ziemi. „Towarzystwo moje wieczorne—kończy Nordau—przedstawiło mi się teraz w całkiem innem świetle. Już nie widziałem idyotek i dudków, sobków i głupców, płytkości i próżności, ale same zapoznane talenty, Brutusów, udających brak rozgarnienia, wielkich ludzi, którzyby byli w stanie odbudować całą naszą dzisiejszą i przyszłą cywilizacyę, gdyby ta z jakiegobądź powodu kiedyś zginęła. Głęboka miłość i podziw dla ludzkości całej bez różnicy wstąpiły w me serce i faktycznie trwały tak długo, dopóki znów nie poszedłem między ludzi.“

Artykuł czwarty, zatytułowany „Powodzenie“ (Erfolg) mieści gryzącą satyrę na dzisiejsze stosunki społeczne. Mylą się pedagogowie, utrzymujący, jakoby zadaniem szkoły miało być kształtowanie charakteru, rozwinięcie umysłu, wzmacnianie woli, krzewienie poczucia dobra i piękna. Na co to wszystko? Wobec powszechnego dążenia do uprzyjemnienia sobie życia, szkoła zupełnie inne powinna mieć cele, powinna wprost przygotować człowieka do powodzenia w walce o byt. Tymczasem ideały szkoły dzisiejszej nietylko całkowicie się różnią od ideałów życiowych, ale wręcz są w sprzeczności z nimi. Obecny plan nauki i wychowania zdaje się dążyć do kształcenia ludzi, którzy wśród wiru rzeczywistości wkrótce dojść mają do znienawidzenia bliźnich i świata, którzy, po pewnym czasie dobijania się o nagrody państwowe i społeczne, z odrazy cofają się w dziedzinę spokojnej i nieśmiałej kontemplacyi, w dziedzinę marzeń niedoścignionych, którzy jednem słowem mają przeznaczenie bez walki ustąpić miejsca przy uczcie życia innym. Złośliwy mógłby przypuścić, że nauczyciele widzą w uczniach swoich podrastających współzawodników i z góry usiłują uczynić ich nieszkodliwymi, obcinając im paznokcie, spiłowując zęby, i na ostro patrzące oczy niebieskie kładąc okulary. Z tych wszystkich względów proponuje założenie szkoły, mającej za wyłączne zadanie przygotować ludzi do powodzenia w życiu. Klas żeńskich, jak mniema, w szkole tej nie byłoby potrzeba. Kobieta bowiem jest w tem szczęśliwem położeniu, że może obejść się bez nauki tego rodzaju. Natura uposażyła ją we wszystkie wiadomości niezbędne do powodzenia, drobnych sztuk zaś, jakich w tej mierze nie posiada, z łatwością

---

sięgnąć nie może. Promienie jutrzenki są mętniejsze od twych spojrzeń. Uśmiechasz się litościwie, najpiękniejsza z istot, nazwanych kiedykolwiek imieniem kobiety. Nie sprawiam ci wstrętu, a mali chłopcy, ujrzawszy mnie na ulicy, tulą się w fałdy ubrania ojców. Bo też mnie nikt nie kocha, tylko własna moja dusza.

Aspazya.

Jesteś tak młody...

Sokrates.

Głos twój brzmi jak dźwięk strun arfy eolskiej, muskanych wiosennym powiewiem i miłe tony wlewa do piersi mojej. Młody jestem — mówisz. W szpetnem ciele dusza szybko dojrzewa, bo chce co prędzej z niego wylecić. W twojem ona rozkoszuje się — nie starła z niego jeszcze ani jednej barwy dziewiczej. Zawstydzone róże pozwijałyby w pączki swe kielichy, gdybyś stanęła między niemi.

Aspazya.

Poeta z ciebie — i wymowny...

Sokrates (*powstawszy nagle*).

Ocuć się, Sokratesie! Chodź mój duchu i strzeż mnie... Aspazyo, to była szczera, młodzieńcza modlitwa... Eurypidesie... Protagorasie... wybaczcie mi tę słabość. Mistrzu Anaksagorasie, raczyłeś zauważyć myślący pył. Jestem — jak twierdzi moja matka — darmozjadem i nieponiem, bo chodzę po niwie filozofii i pielę z jej plonów chwasty. Zaczepiam ludzi, którzy mniemają, że wiedzą wszystko, i przekonywam ich, że nie wiedzą nic, że nasypują ciągle piaskiem dziurawe worki lub nadymają wiatrem pęcherze i uginają się pod nimi, jak gdyby dźwigali wielkie ciężary.

Anaksagoras.

Odbierasz chleb sofistom.

Sokrates.

Nie odbieram go, bo te pęcherze przekłuwam darmo.

Anaksagoras.

Czegoż uczysz?

Sokrates.

Odróżniać grzyby, które zbieramy w lesie poznania i z których składa się cała wiedza. Są między nimi lepsze i gorsze, pożywne rydze i szkodliwe bedłki, ale ostatecznie są to tylko grzyby: najlepsze ich gatunki trzeba spożywać młode, bo szybko gniją. Dzisiejsza prawda może jutro stać się fałszem. Kłamstwo jest trującą bedłką a przesąd robaczywym grzybem — filozof właśnie powinien je wyrzucać z koszów ludzi ciemnych, ażeby nie chorowali moralnie. Bo do cnoty prowadzi droga przez wiedzę... Zbrodniarz jest nieoświeconym lub źle rozumującym głupcem.

Protagoras (*do Anaksagorasa*).

Ten człowiek wcześnie obudził się i przetarł sobie oczy.

Anaksagoras.

Szeroko je otworzył.

Protagoras.

Mądrze mówi, chociaż ten jego wywód również możnaby obalić.

Aspazya (*do Sokratesa*).

Odwiedzaj nas często — będziesz zawsze pożądanym.

Sokrates.

Tak cudnie prosisz, że duch mój znowu mnie opuścił (*siada u jej stóp*). W wieczności unoszą się ideały wszechbytu, które rzucają odblaski na życie ludzkie. Ty jesteś ich najczystszem odbiciem.

Aspazya.

Tylko mnie oglądasz — może później będziesz słuchał. Anaksagorasie, obiecałeś odczytać nam swoją rozprawę o mitach — przyniosłeś rękopis?

Anaksagoras.

Owszem — ale zamilczcie o jego osnowie przed każdym, dla kogo jestem

później nabywa sama. W dzisiejszym porządku świata większa część kobiet do jednego tylko dąży celu: chcą podobać się mężczyznom. Aby celu tego dopiąć, powinny tylko być piękne lub rzucać się w oczy. Duchy przewrotne wpadły na myśl niefortunną urządzenia wyższych szkół dla dziewcząt. Uczą się tu biedaczki rysować, bębnić na fortepianie, dziwnym akcentem wymawiać języki obce i mylić się w datach historycznych. To śmieszne! To też dziewczęta nasze zaczynają żyć życiem prawdziwem wtedy dopiero, gdy się pozbędą niedorzecznych udręczeń szkolnych. Wtenczas z własnego popędu dochodzą do biegłości w sztuce tworzenia sobie rumieńców lub przynajmniej posypywania się pudrem ryżowym, noszenia sukien wyzywających, chodzenia, stania i siedzenia w ten sposób, aby niewłaściwości w kształcie ich odzieży plastycznie występowały na jaw; odgadują, jak najwymowniej wypada bawić się wachlarzem, jak najzalotniej strzelać oczkami, jak najzrozumialsze układać minki, jak wdzięczne przybierać pozy i ściągać usta figlarnie, jak wreszcie głosowi swemu nadać zachwycającą giętkość niewinności dziecięcej, młodzieńczej swawoli i nieświadomości ponętnej. Za pomocą tych środków pewne są, że wszędzie gdzie się ukażą, gromadzić będą w około siebie gromady wielbicieli, że znajdą tancerzy, kochanków, mężów nakoniec i w ogóle wszystko, co życie czyni pięknem i przyjemnem.

Ale nie tak szczęśliwi są mężczyzni, którzy dla utorowania sobie drogi w życiu muszą zyskać przychylność osób swojej płci, co jest nie łatwem. I dla tego właśnie potrzeba mistrzów, którzyby wskazali ścieżyny wiodące do powodzenia, potrzeba szkoły. Do szkoły tej chodzić także nie mają potrzeby: piękni, jak Apollo, i razem głupi, jak karpie, synowie wielkich arystokratów, mający poważną rentę roczną i synowie milionerów; ci nie są zmuszeni gonić za powodzeniem, powodzenie ich goni. Do ojców, którzyby zdecydowali się oddawać chłopców do szkoły proponowanej, jej przełożony, według słów Nordau'a, z następującą powinien się zwracać przemową: „Panie kochany! zastanów się przedewszystkiem, czego chcesz właściwie. Jeśli ci chodzi o to, aby syn twój spędził życie w świecie idealnym, gdzie tylko zasługa otrzymuje wieńce, skromna cnota odszukiwana jest w swem ukryciu i wynagradzana, nieznane są głupota, próżność, złośliwość a dobro i piękno panują powszechnie, albo jeżeli sądzisz, że syn twój godność własną zawsze będzie stawiał wyżej nad poklask tłumu, że będzie słuchał tylko sumienia własnego, wcale nie troszcząc się o zdanie mas i zadowolni się spełnieniem obowiązku i pochwałą świadka wewnętrznego—w takim razie niczego się nie nauczy u mnie. Lepiej oddaj go do jakiejbądź innej szkoły i podług zmurszałej każ wychować rutyny. Niech czyta starych i nowych poetów, niech się bawi naukami i przysięga na słowo swojego nauczyciela. Jeśli jednak chcesz, aby syn twój został człowiekiem, któremu się wszyscy kłaniają na ulicy, który podróżuje w wagonie salonowym i staje w hotelach pierwszego rzędu, jeśli ci chodzi o to, aby miał pieniądze i wpływy i mógł pogardzać niepozornymi głodomorami — no, to zostaw go tu. Czy kiedyś napiszą o nim w Plutarchu — za to nie ręczę; ale to można: z pewnością powiedzieć, że w wykazie urzędów na dobrej będzie figurował posadzie."

Wykłady w szkole powodzenia dotyczyć winny kilku głównie tematów. Dla przykładu wymienić można zasady, niemające nic wspólnego z dawnymi przesądami, takie: chwal się sam, ile możesz; nie mów dobrze o nikim, bądź złośliwym, jak czarownica, a język miej jadowity, jak żmija, niech cię nie obchodzi opinia mas, ubiegaj się tylko o względy twoich protektorów, udawaj zawsze, że masz miliony, rób długi, korzystaj z błędów twoich współludzi itd. itd.

„Oby tylko — mówi Nordau — jakiemuś hardemu uczniowi nie przyszło na myśl zapytać mnie: „Ponieważ wiesz pan tak dokładnie, jak się osiąga powodzenie, sam musiałeś zajść bardzo daleko?" To wprawiłoby mnie w kłopot. Mógłbym odpowiedzieć tylko: widziałem, jak inni dochodzili do powodzenia i tego było mi dosyć. Kto w kuchni przygląda się, jak przyprawiają zupę, ten traci apetyt."

Ad. J. Cohn.

Prasa peryodyczna.

Biblioteka warszawska. Kwiecień, maj, czerwiec.

Pożądaną bardzo rubrykę stanowią w *Bibliotece warszawskiej* obszerniejsze artykuły polityczne, szkoda tylko, że autorowie ich wybierają zbyt drobne i mało nas interesujące sprawy, jak np. p. Władysław Gołemberski, który pisze „O liberalizmie węgierskim i reformie izby magnatów". Autor chwali liberalizm i to nie węgierski, ale wogóle, i odnośnie do naszego społeczeństwa wypowiada wiele zdrowych uwag. Oto np. „otwieraliśmy więc na roścież wrota wpływom reakcyi, bez względu na to, co ona znaczy w międzynarodowych stosunkach, a ona przez nas w ten sposób karmiona, okazała się dla nas na wszystkich polach jałową, a jak świadczą szczególnie fakta smutnych doświadczeń w Galicyi, okazała się na tej ziemi nawet faworyzowanej obrotem dziejowym i pewną harmonią z zasadniczą ideą państwową — bezpłodną, bezpłodniejszą nawet może niż był liberalizm austryacki". Styl nieszczególny, ale myśl słuszna i stosuje się nietylko do Austryi. P. Gołemberski, należy do t. z. młodokonserwatystów, polityków naśladujących ową naiwną panienkę, która „i chciałaby i boi się", umiarkowany więc i silnie państwowy liberalizm węgierski podoba mu się tak, że nie dostrzega w nim wcale stron wstrętnych, jak np. prześladowania narodowości słabszych—słowaków, rumunów i rusinów. Kto wie, może nawet autor uważa to za zaletę, bo określa pożądany system rządu jako taki, który jest „moralnie silniejszym od atrakcyj etnicznych, klasowych czy wszelakich innych", czyli, jednem słowem, centralizm umiarkowany.

„O ruchu państwowo-socyalistycznym w Niemczech" pisze p. Ludwik Żychliński dość pobieżną notatkę. Kilkoma rysami zaledwie zaznacza on powstanie socyalizmu naukowego, przyczem niedokładnie rozróżnia kateder-socyalistów i właściwych teoretyków tej nauki. Wspomina potem pobieżnie o reformach Bismarcka i obszerniej nieco o socyalizmie teoretycznym, którem to mianem obejmuje teraz już tylko zwolenników nauki Marksa i Lassalle'a. P. Żychliński trafnie wyróżnia dwa wybitne kierunki socyalizmu: naukowy i anarchiczny, z których jeden walczy przeciw *dzisiejszemu*, drugi przeciw *wszelkiemu* prawnemu porządkowi rzeczy. Autor obeznany jest dokładnie z literaturą, ale w krytyce trzyma się utartych szablo-

---

w Grecyi zbyteczny. Praca ta musi zginąć a może i ja z nią, niechże przynajmniej ten los na nas poczeka. (*czyta*) „Wszelkie mity o stworzeniu świata i jego dziejach pierwotnych należą do poezyi, a dla nauki nie posiadają żadnego znaczenia, prócz wartości symbolów, które..." (*wchodzi Perykles*).

SCENA 7.

Ciż i Perykles.

Aspazya (*rzuca się na szyję Peryklesowi*).

Całe Ateny powinny cię tak kochać, jak ja.

Perykles (*ironicznie*).

Ach, gdybyś ty, moja tęczo, kiedykolwiek zobaczyła całe Ateny! (*do obecnych*) Pozdrawiam was przyjaciele.

Aspazya.

Jesteś wzburzony...

Perykles.

Bo Ateny — to nietylko wy, nietylko wielkie umysły i charaktery, dążące do wielkich celów, nietylko poczciwy, choć zmienny lud, Ateny — to także wieloramienne polipy, to także arystokratyczne kruki i przeróżna padlina społeczna, śród której gniją moi własni synowie. Starszy z nich lżył dziś pijany przechodzącego ojca, zmęczonego pracą w służbie narodowej.

Aspazya.

To nie powinno cię już boleć...

Perykles.

I nie boli tak, jak nowa zdrada arystokratów, którzy nagle wyruszyli pod Koroneę, gdzie tajemnie od kilku dni założyli obóz i dokąd król Pleistonaks spieszy z wojskiem spartańskiem.

Wszyscy.

Wojna!

Sofokles.

Zarazo wytęp nawet nasienie tych podłych zdrajców!

Fidyasz.

Tfu! Nędznicy! (*gwar zmieszanych głosów*).

Aspazya (*do Peryklesa*).

Pewnaż to wiadomość?

Perykles.

Przybyli gońcy.

Aspazya.

Ale ty nie pojedziesz, Peryklesie! Oni chcą cię wywabić z Aten, ażeby je opanować przy pomocy jawnych i ukrytych w mieście spiskowców.

Perykles.

Podzielę się niebezpieczeństwem, ale go innym całkowicie nie ustąpię.

Aspazya.

Tu grozi największe! Błagam cię mężu drogi, którego nawet moje przeczucia nie zwiodły...

Wszyscy.

Zostań Peryklesie!

Perykles.

Nie możemy tu tworzyć rady, chodźmy zapytać narodu, komu on i gdzie walczyć każe. (*Mężczyzni wychodzą*).

Diotima.

Aspazyo, odbiegła cię nadzieja?

Aspazya.

Ze słońcem zachodzi dla nas szczęście dnia dzisiejszego, ale jutro słońce wstanie a z niem i nasze szczęście zaświeci.

Koniec aktu drugiego.

nów, albo też dobrowolnie dostarcza oręża przeciwnikom. Zamiast rozbioru strony ekonomicznej, która posiada wiele słabych punktów, p. Żychliński zwraca główną uwagę na stronę etyczną, kiedy właśnie tutaj socyalizm jest najsilniejszym. Należało także rozwinąć obszerniej wpływ charakteru narodowego na powstanie i ukształtowanie ruchu socyalistycznego w Niemczech, co autor mimochodem tylko zaznacza. Nareszcie, ponieważ mu głównie chodzi nie o podstawy naukowe, ale o formę konkretną istniejących prądów, trzeba było przedewszystkiem dać określenie demokracyi socyalnej niemieckiej. Krótka i pobieżna (9 stronic druku) praca p. Żychlińskiego właściwszą byłaby dla pisma codziennego, aniżeli dla poważnego miesięcznika.

P. Bronisław Łoziński w artykule „Schaeffle contra Schaeffle“ zdaje sprawę z najnowszej pracy uczonego niemieckiego, której ocenę pomieściła już *Prawda*. Nie będziemy mówili szczegółowo o tej rozprawce, zwłaszcza, że p. Łoziński do streszczanej broszury dodaje bardzo mało własnych uwag, w których zresztą nic zgoła nowego nie wypowiada. Przy sposobności zaznaczę tylko, że dotychczasowi recenzenci Schaefflego przesadzili nieco znaczenie owych różnic, jakie wrzekomo istnieją pomiędzy dzisiejszymi i dawniejszymi poglądami tego autora. Schaeffle nawet w *Kwintesencyi* socyalistą nie był, ale od zdań wypowiedzianych tam i teraz w głównych punktach nieodstępuje. Mniemana zmiana zdania polega na tem, że poprzednio autor mówił tylko o możliwości teoretycznej, obecnie o możliwości praktycznej stosowania w życiu zasad socyalizmu i że poprzednio miał na myśli najogólniejsze podstawy doktryny, obecnie zaś mówi o tych formach, jakie ona przybrała.

Według zdania redakcyi *Biblioteki warszawskiej* ekonomia polityczna nie należy widocznie do nauk społecznych, bo kronika ekonomiczna stanowi oddzielną rubrykę. Dział ten prowadzi zręcznie i porządnie p. Fendi. W krótkich zarysach podaje on bezstronną krytykę działalności Banku polskiego, informuje czytelników o nowych podatkach, o ich reformach w Rossyi i zachodniej Europie, o kwestyi zbożowej i t. d. Jakkolwiek z wieloma poglądami autora zgodzić się nie możemy, przyznać mu trzeba gruntowną znajomość rzeczy i troskliwość w zbieraniu informacyj. P. Fendi zresztą nie wdaje się w roztrząsania teoretyczne, chodzi mu tylko o praktyczną stronę każdej sprawy, interesuje go więc polityka ekonomiczna. Czytelnik jednak pragnąłby bezwątpienia poznać całokształt poglądów autora, wtedy bowiem dopiero mógłby należycie ocenić o ile sądy jego trafne są i słuszne. P. Fendi podaje także bibliografię ekonomiczną, szkoda wszakże, że bardzo szczupłą i często spóźnioną. W ostatniej kronice porusza potrzebę stworzenia organu poświęconego sprawom gospodarstwa narodowego, a chcąc być praktycznym, podaje nawet projekt budżetu przyszłego wydawnictwa. Projekt ten zdradza wszakże zupełną nieznajomość warunków prowadzenia pisma, które w pierwszych latach ani 900 prenumeratorów, ani 4 stronic ogłoszeń drogo płatnych spodziewać nie może. Wydatki znowu obliczone są zbyt hojnie, dosyć powiedzieć, że redaktor pobierać ma 1800 rubli stałej pensyi, czterech współredaktorów po 480, 2 pomocników po 300, sekretarz 600 i t. d. Słowem całe biuro dobrze opłaconych i niepotrzebnych figurantów. Zgadzamy się z p. Fendi, że pismo tego rodzaju istnieć u nas może i powinno, dotychczasowo zaś niepowodzenie *Ekonomisty* przypisać należy niepraktyczności kierowników, ale pomysł jego byłby bardziej jeszcze niepraktycznym.

Znany uczony p. Romuald Hube ocenił i opisał dwa rękopisy średniowiecznego zbioru praw kościelnych gnieźnieński i krakowski, posiadające dla historyi prawa niemałą wartość, ale znane już nawet obcym badaczom. Rzecz to ściśle specyalna.

„Odsiecz Wiednia“ p. L. Chrzanowskiego ciągnie się urywkami, w długich odstępach i dotychczas nie została skończoną. Autora zajmuje głównie wojskowa strona sprawy chociaż w tych razach nie jest wcale specyalistą.

O ciekawych „Pamiętnikach“ Leona Dembowskiego wspominaliśmy poprzednio; opisuje on w nich dotyczas pierwsze miesiące rewolucyi 1830—31 r. Praca ta wyjdzie zapewne w osobnej odbitce i wtedy damy szczegółową jej ocenę. Pamiętniki Dembowskiego, świadka naocznego, ale stronnego, nie dają czytelnikowi prawdziwego obrazu tej ważnej chwili, w braku jednak innych dzieł mają wartość względną. Historyk nie znajdzie w nich wielu nowych szczegółów, nowem może będzie jedynie oświetlenie niektórych faktów.

Pod tytułem „Anglia, Rosya i Afganistan“ p. E. S. Naganowski podaje luźne i nieumiejętnie dobrane wyciągi z pism angielskich, których część każdy, interesujący się polityką przeczytał już wcześniej, bądź w oryginale, bądź w przekładach, innych zaś znowu czytać nie warto.

Do historyi zaliczyć również trzeba: „Teatr warszawski za dyrekcyi L. Osińskiego;“ artykuł ten obchodzić może tylko badacza dziejów naszej sceny.

W dziale literatury i krytyki znajdujemy dwa dokończenia rozpoczętych w pierwszym kwartale prac. O monografii p. Rzepeckiego „Nieznane poezye Zbigniewa Morsztyna“ mówiliśmy poprzednio, wspomnimy więc jedynie o ocenie *Ogniem i mieczem* przez Wojciecha Dzieduszyckiego. Krytyk w ostatecznym wniosku obniża znacznie wartość dzieła wydętą do olbrzymich rozmiarów przez usłużną reklamę. Szkoda, że p. Sienkiewicz nie usłuchał trafnych jego uwag, co do pośpiechu w tworzeniu, bo o ile sądzić można *Potop*, który kapie maleńkiemi kroplami na szpalty *Słowa*, pisany jest również bez planu, z numeru na numer, z efektami przy końcu każdego odcinka, które potem w całości znajdą się na niewłaściwem miejscu. P. Sienkiewicz posiada odpowiednie dane do spłodzenia dobrego potomstwa, rozumie się, duchowego, znosi on piękne jaja, ale zamiast je wysiedzić, kładzie pospiesznie w dziennikarski inkubator Choiński, Soplica i S-ka, w którym wylęgają się tylko rosłe, lecz wątłe kurczęta.

„Nauka filozofii, oraz rozkład systematyczny jej gałęzi pojedynczych“—to lekcya wstępna p. A. Raciborskiego w uniwersytecie lwowskim. Autor, o ile sądzić można, jest eklektykiem nowszej formacyi, który jednocześnie pali świeczkę i Comte'owi i metafizyce. Filozofię określa on jako „naukę o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych w stosunku do myślącego podmiotu“ i dzieli ją na 6 części, które iść winny w następującym porządku: 1) psychologia, 2) logika formalna, 3) teorya poznania, 4) metafizyka, 5) estetyka, 6) etyka. Od lekcyi wstępnej trudno wymagać uzasadnienia szczegółowego każdego zdania, ale koniecznem jest zaznaczenie stanowiska, czego p. Raciborski nie uczynił.

W rubryce sztuk pięknych znajdujemy dwa artykuły p. K. Matuszewskiego: „Przegląd wystawy T. Z. S. P.“ i „Konkursy na projekt pomnika Mickiewicza“—są to mniej lub więcej trafne komunały, które ślina na język przynosi a pióro utrwala na papierze. Ciekawe tylko są dopiski redakcyi, która zwraca uwagę swego sprawozdawcy, że często zmienia zdanie.

Dwie „Kroniki paryskie“ p. Duchińskiej nie odznaczają się obfitością treści, w jednej z nich autorka mówi dosyć obszernie o dziele Fustel de Coulanges'a: *Własność u starożytnych germanów* i o p. L. Leger, w drugim o „Salonie“ i znowu o p. Leger, któremu ma za złe, że nie chce szukać prawdy wyłącznie w książkach, „ale na gruncie samym, gdzie się ludy poruszają, bada ich życie polityczne i literackie.“ P. Duchińska sądzi, że geniuszem sięgać można tam, gdzie wzrok nie sięga i widzieć więcej, niż najbardziej spostrzegawczy wędrowiec. Zapewne, ale wtedy widzi się zwykle dziwolągi, wymarzone we własnej głowie i dochodzi do takich bredni, jak np. uczone teorye jej małżonka.

Kronika londyńska byłaby bardzo pożądaną, gdyby była lepiej nieco prowadzoną, w każdym razie jest to pożyteczna nowość, bo dotychczas wszystkie wiadomości czerpiemy zwykle *via Paris*, pożyteczniejszą natomiast byłaby kronika obszerna z życia i literatury niemieckiej.

Dział krytyczny zawiera osiem obszerniejszych ocen, drobne wzmianki oprócz tego znajdujemy w skrzętnie prowadzonej rubryce „Wiadomości naukowych, literackich, artystycznych i społecznych,“ której brakuje w *Ateneum* ze szkodą dla pisma.

Wogóle w ciągu drugiego kwartału nie znajdujemy w *Bibliotece* ani jednej wybitniejszej pracy, kilka lepszych artykułów niknie w masie archeologicznego balastu, którego redakcya pozbyć się nie chce, czy nie umie. Widać jednak w jej usiłowaniach pewną chęć ożywienia pisma za pomocą sprawozdań i kronik. Tylko język tych wszystkich artykułów woła o pomstę — literalnie ani jedna praca nie jest napisaną bodajby znośnie. *Biblioteka warszawska* należy do pism, które „stoją na straży tradycyi“ a jednak najcenniejszy skarb jej, mowę polską poniewiera nieraz gorzej od *Kuryerów*. Nie mówię już o takich austryackich polakach, jak p. Łoziński, który używa specyalnego c. k. narzecza, ale np. p. W. Dzieduszycki, posiadający sławę wykwintnego stylisty powtarza np. w ośmiu wierszach cztery razy wyraz zrazu lub odrazu. Ciekawa rzecz także, skąd autorowie dojrzali wiekiem, lub też galicyanie i poznańczycy zebrali taki spory zapas rusycyzmów, kiedy nigdy z językiem rosyjskim nie mieli styczności. Smutne to jest, ale charakterystyczne, że my młodzi uczyć musimy ojców naszych jasno i poprawnie pisać po polsku.

L.

MALARSTWO.

Kolumb Brozika, *Żydzi* Grocholskiego, *Na kwiatach* Pruszkowskiego, *Akwarele* Kossaka.

Przed *Husem* Brozika stały tłumy, patrzące ciekawie na ten dramat fanatyzmu, którego ofiarą był blady asceta... Naprożno niektórzy krytycy dowodzili, że to utwór wadliwy, że artysta nie umiał użyć dobrze modelów, że słabo oddał niektóre kostiumy i akcesorya — w obrazie tkwiła jakaś moc przyciągająca, która budziła zajęcie, wywoływała namiętne rozprawy i spory. Ogółu nie raziły pewne „niedociągnięcia“ malarskie, ale poruszała go namiętność, która wrzała na ławach soboru, żywe przedstawienie tego spisku gromady nienawistnej przeciwko reformatorowi, podnoszącemu w ciężkiej chwili ku niebu rozjaśnione natchnieniem oblicze.

Tymczasem w *Kolumbie* artysta nie namalował dramatu, ale tę chwilę, gdy odkrywca nowego lądu zdaje sprawę z czynów swoich Ferdynandowi katolickiemu i Izabelli kastylskiej, których świeżym węzłem złączone ziemie powiększył nową zdobyczą. Rzeczywiście, wielkość Kolumba nie dała się wyrazić w tej spokojnej scenie, tak dobrze, jak podniosłe męczeństwo czeskiego reformatora.

Wielki podróżnik zresztą nie udał się artyście. Nie jest to marynarz, na którego twarzy znać spaleniznę słońca i ślady przebytych trudów, ale jakiś *l'abbé*, mocno przypominający Liszta, chudy, odziany w opięte, czarne suknie i pozujący z aktorskim giestem. Lepiej przedstawił Brozik twarze i postacie pary monarszej, słuchającej raportu żeglarza, a śliczna twarz młodziuchnej księżniczki, modrookiej blondynki o gładko zaczesanych włosach, śmieje się na obrazie urokiem młodości. Na lewo zasiadł szereg duchownych, mnichów i dygnitarzy, którzy słuchają słów Kolumba jużto obojętnie, jużto z niedowierzaniem, ciekawością a nawet z lekka tylko hamowaną pogardą. Znać, że do tych głów nie trafia jego mowa, że poryw geniusza rozbija się o szare skały pospolitości. Tylko, rzecz dziwna, jak ci dygnitarze, prałaci, mędrcy i zakonnicy hiszpańscy z drugiej połowy XV wieku podobni są do biskupów i prałatów ze wszystkich krajów katolickich, zaproszonych do Konstancyi w początkach tegoż stulecia. W charakterystyce typów artysta powtórzył się najwidoczniej, używając zbyt podobnych lub tych samych modeli, namalował znów te twarze o rysach wyrazistych, szpetnych, chude, napiętnowane złością i uporem, albo utuczone, pulchne, pełne samolubstwa i wyniosłości. Nie dość, że się powtórzył, ale nie nadał figurom charakteru hiszpańskiego, który ma swe wybitne cechy etnograficzne. Niema tu nic, coby rozgrzało i poruszyło widza, który obojętny rozgląda się w ładnie malowanych szczegółach, w pięknej i delikatnej karnacyi twarzy Ferdynanda oraz innych fizyognomiach, w ślicznych materyach, kostyumach i dywanach, oddaje artyście sprawiedliwość za piękną perspektywę sali i jej powietrzne głębie. A chociaż fachowiec powie, że tu obraz lepiej malowany i bardziej wytrzymany w tonie, aniżeli *Hus*, jednak widz zwyczajny, czujący sztukę bezpośrednio, słusznie twierdzi, że brak tu czegoś, brak duchowej podniosłości, brak tej idealnej siły, która w słabszym obrazie brała za serce. Jest to jeden dowód więcej, że treść podniosła dodaje uroku dziełom pędzla, nacechowanym techniką godną wielkości przedmiotu. Brozik chłodniej traktował *Kolumba* niż *Husa* i pomimo wszelkich zalet techniki, wykazał w tem dziele, że nie jest talentem pierwszorzędnej siły a co gorsza, że powtarza się w szczegółach i traktowaniu kompozycyi, w której kilka figur pierwszego planu otacza tłum słuchaczów. Ten układ można też zauważyć na drzeworytniczej reprodukcyi nieznanego u nas obrazu, na którym młody lutnista bawi zgromadzony dwór księcia dźwiękami swej pieśni.

Oryginalnym nastrojem i charakterem uderza na nieduży, ale pełen zalet obraz Grocholskiego *Żydzi*, przedstawiający chwilę modlitwy. W bóżnicy wśród rzędu ławek stoi jeden żyd w śmiertelnej koszuli. Podniósł do góry głowę, przymknął oczy w uniesieniu pobożnem, otworzył usta, przez które widać resztki białych, spiczastych zębów. Drugi, siedzący, podparł się łokciem, zatopił twarz w księgę, pogrążył się zapewne w rozpamiętywaniu dawnych dziejów i cierpień wybranego ludu. W głębi widać szereg ławek, i poważnych postaci wznoszących myśl do swego Adonai. Ściany bóżnicy toną w mroku; z góry tylko, na twarz głównej figury spływają promienie światła, w których dosadnie rysuje się ostre, wyrazisto oblicze. A jak oni się modlą, jak całą duszą pogrążyli się w skupionej ekstazie. Równie szczęśliwą charakterystykę modlitwy żydowskiej widzieliśmy tylko w *Sądnym dniu* Horowitza, gdzie artysta odtworzył pamiętny niepokój i żal bolesny za utraconą ojczyzną. W tym obrazie ascetyzm żydowski jest spokojny i głęboki a dla uwydatnienia go malarz nie uciekał się do sztucznych efektów, nie idealizował fałszywie twarzy, ale dał dwa oblicza realne, typowe, suche, zawiędłe, a w ich wyrazie, w całym układzie postaci doskonale przedstawił zawziętą pobożność synów Izraela. A jakiż postęp wykonał p. Grocholski w technice od ostatniego obrazu *Przy łożu chorej*, malowanego wcale dobrze, chociaż tu i owdzie twardo i płasko! Twarze wymodelowane starannie i energicznie, figury ustawione prawdziwie, na dobrze obmyślanem tle, które podnosi ich wyrazistość, a koszula śmiertelna głównego żyda namalowana z łudzącą plastyką. Całość zlewa się doskonale w posępnym, ciemnawym tonie, a jakkolwiek nie wabi oczu zwykłych widzów papuzią jakrawością barw, jednakże pociąga typowością i tajemniczą poezyą. Niewątpliwie w p. Grocholskim, który już zdobył sobie oryginalną technikę, malarstwo nasze zyskuje artystę-poetę, który nie zadawalnia się efektem świateł lub plam kolorowych, nie popisuje się z brawurą technika, ale malując dobrze, nadaje obrazom pewien nastrój duchowy, zupełnie licujący z obranym tematem. Dotychczas wybiera przedmioty poważne lub smętne, kocha się w barwach posępnych. Nic w tem dziwnego, bo u nas ludziom szlachetnym a wrażliwym trudno się zdobyć w sztuce na słoneczną pogodę.

Poetą w innym rodzaju, jest także pan Pruszkowski, który ucieka od szarej prozy w dziedzinę legendy lub fantastycznego marzenia, chociaż w potrzebie umie być realnym, jak tego dowiódł w swej znakomitej *Procesyi wiejskiej*. Jeszcze nie wspominaliśmy o jego przerażającym smoku Wawelskim, który łyskał ognistemi oczyma i toczył zgęby ślinę na widok ofiary—a oto mamy przed sobą fantastyczną sielankę *Na kwiatach*, znajdującą się w Salonie p. Krywulta. ...Śnie na kwiatach, śnie mój złoty — takie motto dał obrazowi i namalował nagą, oplątaną w pasma własnych włosów rusałkę, spoczywającą na kwiecistym hamaku... Jeżeli ta piękność jest marzeniem artysty, to przyznać należy, że lubi ładnie rozwinięte kształty kobiece, tylko pod względem cery mógłby mieć gust idealniejszy. Rusałka owa nie jest wcale powiewna, ciało ma zbyt ciężkie, ziemiste, które nie świetnie wygląda wobec żywej barwy prześlicznie malowanych kwiatów. Istotnie ten hamak strojny w różowe, świeże, bijące silną wonią bukiety, jest posłaniem fantastycznem, powabnem, godnem królewicza, z bajki „którego listki róży cisną“. Koloryt kwiecia sprawił, że ciało wydaje się niekorzystnie. Artysta nie zharmonizował tych dwu kontrastów, nie obliczył, że fioletowy odcień w karnacyi wyjdzie ciężko i brudnawo. Pomimo to modelowanie figury jest dobre, o czem przekonać się można z fotografii, na której ciało rusałki rysuje się wdzięcznie i wyraziście. Byłoby wszakże lepiej, gdyby malarz-poeta okrasił większym wdziękiem tę istotę, która spoczywa na łożu tak pięknem, że tylko czarodziejskie wieszczki mogłyby je usłać dla jakiejś królowej elfów i chochlików.

Dzielny, sympatyczny talent Kossaka, przypomniał nam się w szeregu akwareli... wykonanych dla uczczenia rodziny Fredrów. Wolelibyśmy, co prawda, aby artysta swój pędzel zwrócił na przedmiot trochę żywotniejszy, niż ilustrowanie dziejów rodziny fredrowskiej—ale wiemy, że w dzisiejszych ciężkich czasach trzeba często coś robić na obstalunek. Znać też na niektórych robotach powien przymus artysty, naginającego się do rodzajów sobie obcych, do scen nie licujących z dotychczasowym rozwojem jego działalności. Trudno sobie wystawić Kossaka, wyśmienitego, gdy rysuje końskie harce, albo potyczkę dawnej szlachty z wrogami, jak mozolnie dłubie wizerunek jakiegoś biskupa w szatach swej godności, z siwą kręconą peruką na głowie. Chociaż artysta naśladował tu układ dawnych portretów, starannie kończył szczegóły, koloryt nie dopisał mu, stał się brudnym i ciężkim. Lepiej stosunkowo wyszedł portret ojca komedyi polskiej Al. hr. Fredry, który przy swem skromnem biórku świetniej wsławił nazwę rodu, aniżeli wszyscy dawniejsi biskupowie i kasztelanowie, odbywający paradne poselstwa. Portret ten oprócz podobieństwa odznacza się doskonałem wykończeniem szczegółów.

Inne rysunki przedstawiają wjazd do Stambułu, malowniczy i dobrze skomponowany, scenę z wojen napoleońskich, w której postać „małego kaprala“ chybiona i słaba, oraz ilustracye do powieści Sienkiewicza: *Ogniem i mieczem* i *Potopu*. Najlepszą ze wszystkich, jest akwarela przedstawiająca z tej ostatniej powieści Kmicica, gdy jedzie z Oleńką a nad nimi zrywa się gromada żerujących niedopodal kruków.

Dzielna czwórka koni sunie tu z tą zamaszystością, do jakiej nas przyzwyczaił dzielny poeta koni i rysownik scen szlacheckich, pełen lackiego animuszu.

K.

TERMOMIKROFON OCHOROWICZA.

Elektrotechnika w żadnym može kierunku nie osiągnęła jeszcze swojego celu, ale w każdym postępuje olbrzymimi krokami. Jakże to niedawno jeszcze telefony uważaliśmy za dziennikarską kaczkę, z drugiej strony zaś chyba żaden wynalazek nie upowszechnił się tak szybko. Zaledwie ludzie przestali się dziwić, już mieli w swoich domach cudowne aparaty.

Gdy najbliższe żądanie — możność przesyłania po drucie głosu ludzkiego zostało rozwiązanem, zaczęto pracować nad uwrażliwieniem telefonu do tej czułości, któraby mu pozwoliła przenosić dźwięki czysto i mocno, a chwytać je w możliwie długim promieniu słuchowym. Dotychczasowym bowiem przyrządom trzeba było — że tak powiemy — wkładać te dźwięki, wdmuchiwać w trąbkę i bezpośrednio z niej uchem je odbierać. Taką właściwość posiadają zaprowadzone w Warszawie telefony, które są głuche i ochrypłe, tj. nie słyszą brzmień od swej trąbki oddalonych i nie powtarzają żadnych głośno. Niektórzy z wynalazców (np. Machalski) usiłowali wyleczyć telefon zarówno z tej głuchoty, jak i z chrypki, pozostał on jednak kaleką podróżnym. Dopiero dr. Ochorowicz zdołał go uwrażliwić i wzmocnić tak dalece, że w historyi ulepszeń tej gałązki elektrotechnicznej zdobył sobie zasłużony listek chwały.

Termomikrofon bowiem — jak wykazały świeżo ponowione próby w Resursie obywatelskiej — odbiera i przenosi dźwięki w zakresie obszernej sali. Muzyka, śpiew, gwizdanie, rozmowy oddalone od aparatu przechodzą po jego drutach i są słyszane również z oddalenia. Nie wszystkie jednak dźwięki wydobywają się czysto, albo raczej wszystkie prawie bądź zacierają się nieco, bądź zmieniają lekko swój charakter, bądź wychodzą połączone z przytonami. Słuchacz wie, na czem grają, ale nie przestaje pamiętać, że między jego uchem a instrumentem stoi inny instrument, który pośredniczy. Brzmienia też najprostsze (np. gwizdanie) i takie złożone, których czystość najmniej jest wymagalną (rozmowy) termomikrofon przesyła najlepiej. W obecnym tedy stanie jego wartość *praktyczna* polega tylko na rozszerzeniu *dotychczasowej* użyteczności telefonu. Może niejeden, może wszyscy woleliby rozmawiać, nie przykładając ucha do trąbki.

Ale o zastosowaniu termomikrofonu do słuchania koncertów, oper itd., dziś nikt poważnie nie myśli. Rzecz szczególna, że

sam dr. O. jest pod tym względem skromniejszy, niż chór jego chwalców w prasie. Po co tu przesada, kiedy ona rzeczywistości nie zmieni a jako środek obrończy jest zbyteczna. Wszyscy bowiem sprawozdawcy, nawet zagraniczni obsypali wynalazek naszego ziomka pochwałami, na które rzeczywiście zasługuje, bo jest ważnym postępem w elektrotechnice.

LIBERUM VETO.

Krynica bezwiednego humoru. — Darwin na księżej patelni.— Dowód postępu ustrojów niższych. — Ważne wiadomości. — Wrażenia czytelnika prowincyonalnego. — Szkoła rzemieślnicza dla kobiet. — Czego jej potrzeba. — Konieczność czasu. — Szkoła dla woźniców. — O co chodzi? — Sen stróża i nasza socyologia.

Gdziekolwiek jesteś i znosisz lipcowe upały, czytelniku, czy odpoczywasz, czy pracujesz, jeśli tylko sięga do ciebie bodaj paraliżowane przez panią poczthalterową i jej dzieci ramię poczty, zaopatrz się w jakikolwiek zeszyt *Przeglądu powszechnego.* Co tam *Kuryer świąteczny* albo *Kolce* — to zbiory nudnych i poważnych rozpraw wobec *Przeglądu,* w którym na każdej stronicy tryska fontanna szczerego, choć bezwiednego humoru! Pod osłoną rozłożystego drzewa, wyciągnięty na trawie, wdycham ten rozweselający gaz krakowski, przy którym nietylko możnaby sobie samemu bez bólu powyrywać zęby, ale stracić cały pesymizm dla świata. Nie będę skąpym—i zapraszam was do wspólnej biesiady. Spożyjmy np. artykuł: „Darwinizm wobec *nauki* i *rozumu.*“ Co to za przysmak! Skosztujmy kilka kawałków, albo — jak je autor nazywa — „asercyj:“

„Nielogiczności, a nawet niedorzeczności, *wszelką przechodzące granicę,* są na porządku dziennym w dziele *O pochodzeniu uczuć.*“

„Wszystko, co się znajduje w tem dziele, zawdzięczyć należy badaniom innych; przykłady zaś, dowody i wnioski samego Darwina są *gmatwaniną* pojęć *nielogicznie powiązanych.*“

„Naiwność“ jego „jest zdumiewającą;“ jest to „okaz *płytkości i złej wiary.*“

„Fakta, przywiedzione przez Darwina, są albo *zmyślone,* albo *naciągane,* wywody zaś z nich są *tendencyjnie nielogiczne;*“ gdzieindziej znowu spotykamy „niedorzeczność i obłudę.“

Na tych „asercyach“ podpisany jest ksiądz W. Zaborski, który, uraczony drobną pigułeczką z tych wymysłów na największego badacza naszych czasów, z pewnością nazwałby przeciwnika brutalem i uwiadomiłby modlitwą niebo, ażeby tam bluźniercy po sądzie ostatecznym drzwi zamknięto. Ale też głęboki i uczony przyrodoznawca Zaborski ma do takiej surowości prawo. Proszę tylko posłuchać, jak on np. dowodzi Darwinowi, że postęp nie istnieje śród zwierząt. „Wszystkie zwierzęta posiadają z natury, od urodzenia, stosowną broń i odpowiednie narzędzia, tak do obrony od innych. jak i do swego zachowania i odkarmienia; *jeden tylko* człowiek rodzi się bezbronnym i długi czas niezdatnym, bez pomocy innych, do utrzymania swego życia. Lecz dzięki władzy *duchownej* (!)“ itd. Jak można wnosić z tej „asercyi,“ szan. biolog krakowski zna dzikie kaczki, które z jaj na wodę odrazu wypływają, ale jaskółek, wróbli, zięb i wielu innych ptaków, które „bez pomocy innych“ utrzymać się nie mogą — nigdy. przynajmniej w gniazdach, nie widział, Pardon! — ptaki nie zwierzęta, ale ten tytuł zapewne noszą koty i psy. Otóż czy ks. Zaborski nie wie, że rodzą się ślepe?

Wreszcie mam jeszcze jeden dowód na obronę Darwina, że niższe od niego ustroje, obdarzone „władzą duchowną,“ ulegają rozwojowi. Dawniej organizmy te wymyślały tylko darwinistom, przeciwstawiając ich mistrzowi, któremu przyznawały wielką naukę, sumienność, dobrą wiarę itd.; tymczasem teraz i on bywa krajany do hultajskiego bigosu. Czyż to nie postęp?

Czy zaś objawy tego postępu nie są wyborną rozrywką letnią? Ach, jak tego rodzaju artykuły przyjemnie czytać w skwar, kiedy energia mózgu omdleje, kiedy on pragnie tylko zabawy? Wypróbowałem — wierzcie mi!

Chociaż z drugiej strony byłoby niesprawiedliwością narzekać, że prasa nasza nie dba (mimo woli) o rozweselenie czytelników. Teraz będzie nieco krucho, bo Mierzwiński, kupiwszy sobie dom za 2[illegible]0,000 rs., wyjechał, rzuciwszy na pożegnanie zachwyconym słynne *cis* przy... sikawce pożarnej. Po wyjeździe człowieka, który tak wzrusza prasę, że ta aż przebiera nóżkami, nie miałaby ona o czem myśleć — co mniejsza — o czem pisać, gdyby... Dobry los zawsze o dziennikarzach pamięta! Jedna z cukierni przygotowała dla gości papier, atrament i marki pocztowe. Ta doniosła w skutkach wiadomość obiegła wszystkie gazety, nawet te, które nie doniosły jeszcze, że w Warszawie zaczęła wychodzić... *Prawda.* Ale bo też czy tygodnik nasz może mieć nawet pretensyę do równania się z ważnością przyborów pisarskich cukierni, zwłaszcza, że jednocześnie zaprowadzono tamże... mrożoną herbatę! Jest to druga wiadomość „sensacyjna,“ przez prasę oklaskiwana. Chociażbyś najstaranniej dezinfektował się z rozmaitych bakteryj literackich, zawsze one w twój mózg wsiąkną. I ja tedy, dopóki mieszkam w Warszawie, nie dziwię się różnym nowinom o „reformach“ cukiernianych i mrożonej herbacie. Ale gdy oddalę się od kultury tych laseczników, gdy chcę — jak każdy mieszkaniec prowincyi — odtworzyć sobie życie stołeczne z dzienników, czuję, jaką to mizerną strawę duchową poczta ludziom rozwozi. Nożyczki pracują w niej mocno, ale rozum, talent, nauka słabo. To jest jeszcze prawdziwe szczęście, że po za krajem naszym istnieją pisma, z których można wycinać i tłomaczyć: doniesienia polityczne, dowcipy i wzmianki o „ostatnich“ napoleończykach i sławnych „rodakach,“ z których jeden miał ojca araba, drugi — wyratował tonącego w rzece amerykańskiej, trzeci był ujeżdżaczem koni w Paryżu, czwarty umarł w Szwecyi itd. Oto jest tkanka naszego życia umysłowego — w prasie. Za nic w świecie nie chciałbym mieszkać na prowincyi, a w każdym razie nie wiele bym prenumerował pism. I kieszeń by na tem zyskała i głowa. Tę ostatnią więcej nauczy zielona sosna lub mrowisko, niż niejeden „poważny organ.“

Czasem wszakże w te fury piasku życie jakąś cięższą bryłkę wrzuci. Przyznać trzeba, że wprzód rozebrano pawilony wystawy przemysłowo-rolniczej, niż skończyły się w gazetach sprawozdania z rozmaitych „grup,“ które może nawet kawałek jesieni zarwą. Ale mamy i coś nowego. W Warszawie ma niedługo powstać „nowa szkoła rzemiosł dla kobiet,“ której program wygląda jeszcze pokaźniej, niż katalog wystawy. Tej szkole „nowej“ życzę tego samego, co wszystkim starym — kapitału. Dotychczas tkwił zasadniczy błąd we wszystkich tego rodzaju przedsięwzięciach, że podejmowano je jako grę, bez odpowiednich zasobów. Wkrótce też szkoła skarżyła się na uczennice, a uczennice na szkołę; pierwsza nie mogła się rozwijać, a ostatnie kształcić. Smutna to konieczność, ale konieczność naszego ustroju społecznego i naszych stosunków, które na pewnych polach zachowują powodzenie tylko wielkiemu kapitałowi. Gdyby biedak dostał do budowy drogę dąbrowską, straciłby tylko na niej koszulę. „Drogi Kraków za grosz, kiedy grosza niema.“ Dawniej wydawca z kilkunastu lub kilkuset rublami w zapasie wypuszczał prospekt na dziennik i mógł mieć nadzieję, że mu abonenci odrazu pokryją koszta; dziś musi on włożyć dziesiątki tysięcy rubli, zanim koniec z końcem zwiąże lub jakiś zysk otrzyma. Podobnie dzieje się z każdą szkołą. Najczęściej omyli się ten, kto mniema, że ogół — to zbiorowisko myślące, szybko rozpoznające wartość każdej instytucyi, każdego przedsięwzięcia. Bynajmniej. Wodzą go za nos wszystkie pozory, wszystkie blichtry, wszystkie kłamstwa i reklamy; trzeba długiej pracy i ofiar, ażeby ludzi rozsądnych przekonać, że ćwierć plew mniej warta, niż garniec ziarna, że kto krzyczy głośno, nie zawsze krzyczy mądrze, że wiatr nie nakarmi, a woda wyostrzyć się nie da. A cóż dopiero mówić o głupich! Ażeby zaś przebić cały mur uprzedzeń i pokonać niesumienne współzawodnictwo, potrzeba oręża do walki. Takim zaś orężem bywa, niestety, kapitał.

Pływa i drugi grzyb w letnim barszczu: ma powstać również — jak donoszą pisma — szkoła dla... woźniców. Kogo ta nowina nie ucieszy, tego nic ucieszyć nie zdoła, bo właściwie jeżeli nam czego było brak, to ukształconych furmanów—w kraju, w którym miliony ludzi nie umieją czytać, a te same miliony, z dodatkiem innych, umieją powozić. Byłoby to grube szyderstwo z własnej oświaty, gdyby ów zamiar nie zdradzał macania po ciemku dobrych chęci, które nie wiedzą, co robić. Jeżdżąc za granicą lub chwytając dolatujące z niej echa o rozmaitych szkołach specyalnych, te dobre chęci wywracają ciągle piramidę wierzchołkiem do ziemi i próbują na niej się usadowić. Naturalnie każda próba zawodzi. Zawiedzie i szkoła dla woźniców, która rzeczywiście przyniosłaby korzyści, ale gdyby jej wykłady odbywały się w cyrkułach, oświata zaś była przymusową dla wszystkich zwolenników „kawalerskiej jazdy.“ Bo istotnie zadługo żyjemy w barbarzyństwie, które lada kpu pozwala bezkarnie tratować ludzi na ulicach lub przebijać ich dyszlami. Jeśli o taką szkołę idzie — i owszem, ale jeśli o to, aby jak najprędzej po mieście jeździć a rozbiwszy kogoś, najzwinniej przed policyą uciekać— to już doskonale umiemy bez szkoły.

Mam nadzieję, że wkrótce Warszawa zdobędzie się na szkołę dla—stróżów. Łotrowstwa bowiem tych ludzi wyczerpują nam już ostatnią kroplę cierpliwości. Posłuchajmy *Kuryera warszawskiego.* „W dniu wczorajszym w nocy stróż jednego z domów przy ulicy Nowogrodzkiej zbudził ze snu wszystkich mieszkańców okrzykiem „złodziej!“ Rozpoczęto poszukiwania. które nie doprowadziły wszakże do żadnych rezultatów. Nareszcie stróż zwierzył się służbie, iż powodem krzyku był.. nieprzyjemny sen, w którym widział bandę opryszków... Lokatorzy, pomimo przerwanego spoczynku, śmieli się z popłochu, jaki nastąpił wśród płci pięknej... *Co prawda, stróż domowe powinien miewać sny trochę spokojniejsze*“...

Czyż nie przydałaby się szkoła. która by nauczyła chamów, o czem mają śnić? Czy to oni hrabiowie, bogaci przemysłowcy, albo literaci, żeby im wolno było widzieć we śnie, co mózg wysnuje?

„Stróż domu *powinien* miewać sny spokojniejsze“ — w tych głębokich słowach zawiera się cała nasza socyologia. Jest ona czasem tak... Ach, nie dokończę, bo śmiać się nie mogę.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Rozmaitość nazw cholery. — Granice władzy. — Zbawienny wpływ rózgi. — Różne sposoby ułatwienia komunikacyi. — Stowarzyszenie ziemian grójeckich. — Waryacya na nutę: „czego się cieszysz głuptasie.“ — Gimnazyum w Łodzi.

Nie cholera wprawdzie, ale blizka jej krewniaczka choleryna zjawiła się już w Zawierciu i Łodzi. Nie trzeba zresztą dowierzać bardzo nomenklaturze, która stosownie do rozmaitych względów zmienia się i układa. Znany przecież jest ów raport „stanowego“ w jednej z południowo-zachodnich gubernij, złożony władzy wyższej: „w odpowiedzi na zapytanie za nr. X.—mam honor donieść, że w powierzonym mi okręgu żadnej cholery niema, tylko w miasteczku panuje gwałtowna dyarya, połączona z kurczami żołądka i wymiotami, *„imienujemaja jewrejami słaboszcz*, która zwykle kończy się śmiercią,“ a dalej: „odpowiednie rozporządzenie o nieistnieniu cholery, komu należy, wydanem zostało.“

Przypuśćmy jednak, iż rzeczywiście panuje tylko choleryna, to przecież i od niej ludzie umierają i przeciw niej należy zastosować rozmaite środki sanitarne. Można śmiać się z raportu administratora, który zaprzecza istnienia cholery a znajduje tylko „dyaryę połączoną z wymiotami i kurczami żołądka,“ ale przyznać trzeba, że biedak niema innej drogi wyjścia. Za zdrowie „powierzonej mu ludności“ on odpowiada, władza zaś jego, bardzo szeroka w innych wypadkach, nie wystarcza do zaprowadzenia porządku i nie może zmusić niechętnych do wykonywania przepisów hygienicznych. P. policmajster miasta Łodzi, którego energii gorące pochwały oddaje miejscowy *Dziennik*, może wypędzić z miasta „nieprzyzwoite szansonistki,“ ale nic nie zrobi z fabrykantami, wypuszczającymi brudy i odpadki na ulicę. Wytoczy im proces u sędziego pokoju? Ale nim wyrok w dwóch instancyach zapadnie, tymczasem cholera... tfu... „dyarya połączona z wymiotami i kurczami żołądka“ rozgości się na dobre. P. Maksimow może uchronić dusze łodzian od zepsucia, ale nie ma dostatecznej władzy, ażeby ocalić ich zdrowie i życie na wypadek „słabości.“

Ale co tam policmajster, którego władza jest ograniczoną, posłuchajmy, co mówi p. gubernator grodzieński. W pierwszej chwili było bardzo łatwo umiejscowić pożar, należało tylko rozebrać kilka domków żydowskich, do których zbliżał się już ogień. P. gubernator rozkazał łamać te budy, właściciele jednak oparli się i ani prośbą, ani groźbą niepodobna było zniewolić ich do posłuszeństwa. „Gdybym miał pod ręką żołnierzy“ dodał z westchnieniem—„nie pytałbym właścicieli o pozwolenie,“ ale wojsko spóźniło się i Grodno spłonęło. Przygotowująca się właśnie reforma administracyjna powinna usunąć te anomalie rażące. Jakto, naczelnik gubernii niema dosyć władzy, ażeby złamać występny upór właściciela, i odwrócić przez to od całego miasta klęskę? A jednak, nie ulega wątpliwości, że p. gubernator grodzieński nic poradzić nie mógł, co więcej, że ci, którzy nie usłuchali jego rozkazów, ci właściwi podpalacze, nie tylko nie ulegną karze, ale nawet otrzymają zapomogę jako pogorzelcy.

Gazeta lubelska zamieszcza także szereg skarg na nieporządki w mieście. Nie ma więc tam już zapewne owego dzielnego majora, z moich szkolnych czasów, spędzającego spacerujące po trotoarach indyki, wyznaczającego licznym tam faktorom punkty zborne, rewidującego kuchnie i numery hotelowe, w celu przekonania się, czy rondle są pobielone i czy niema robactwa. Pamiętam go, jak zebranym w restauracyi gościom, oznajmił z gestem rycerskim, że „skończyło się już panowanie *kłopów* (pluskiew), co zgromadzeni ziemianie, nie dosłyszawszy, przekręcili na „chłopów“ i wzięli jako zapowiedź „ery szlacheckiej,“ której początek teraz dopiero zwiastują *Peterburskija Wiedomosti*. Żarty na stronę—ale wtedy był w Lublinie porządek. Płeć piękna kąpała się oddzielnie od brzydkiej, nie tak jak teraz; dla izraelitów istniała „granica osiadłości“ nie tylko na lądzie ale i w wodzie; prostytutki nie chodziły do kąpieli w dzień biały w towarzystwie „złotej młodzieży,“ blacharze zaś nie zakładali warsztatów na ulicach. Co prawda wtedy, jak i teraz, kobiety publiczne snuły się po chodnikach ulicy Jezuickiej, ale to trudno, ponieważ jest to zajęcie „tolerowane,“ musi więc gdzieś odbywać się, dla czego zaś ulica Jezuicka ma być wolną od tej plagi a inne—nie, tego nikt, nawet skarżący się w Gazecie, rozsądnie nie objaśni.

Mieszkańcy Lublina nietylko nie wykonywają przepisów sanitarnych, ale nawet stawią czynny opór, jeżeli ktoś zmusza ich do porządku. W jednym z domów przy ulicy Grodzkiej — pisze *Gazeta* — „stróż chwyciwszy na gorącym uczynku małego żydka, prowadził go do matki, jako żywy dowód wykroczenia przeciw zaleceniom komisyi sanitarnej.“ Kiedy to ujrzeli inni lokatorowie—izraelici, rzucili się na przestrzegacza czystości „miotając nań kamienie, stare garnki i wylewając z okien i ganków wszystko, co było płynnego pod ręką.“ Z początku stróż dzielnie bronił się miotłą, kiedy zaś przybyła mu na pomoc żona, może nawet odniósłby zwycięstwo, przeciwstawiając liczbie wyprobowane męstwo. Ale na pomoc izraelitom nadbiegli z ulicy ich współwyznawcy, zwolennik porządku pokrwawiony i zbity cofnąć się musiał do izby, zwycięzcy jednak szturmowali doń jeszcze długo cegłami i skorupami. Sprawa oddana została na drogę sądową, jako „zakłócenie spokoju publicznego.“

Nie chciałbym jednak, żeby czytelnik uważał mnie za zwolennika „sprawiedliwości rzemiennej,“ z apologią której wystąpił w *Gazecie rolniczej* p. Aleksander Jelski. „Gdyby przedewszystkiem — powiada on—nie wytrącono rózgi z rąk rodziców i nauczycieli wiejskich, tak, aby swawolne żaki od początku znały patryarchalny rygor, a następnie, gdyby małe sprawy sądziły się na poczekaniu w sądach gminnych, i nie zahaczały się w labiryncie formalności, to i spraw kryminalnych byłoby o wiele mniej.“ Co do drugiej przyczyny, zgoda, ale rózeg nie braknie chyba w życiu włościańskiem, zwłaszcza w Cesarstwie, gdzie kara cielesna nie jest zniesioną. Za ich pomocą gmina „wybija podatki“ (wyrażenie specyalne), karze na żądanie rodziców nieposłuszne dzieci, nawet zaszczepia moralność. Kto wytrąca rózgę—chyba p. Jelski powiedzieć nie potrafi—w szkole tylko zniesiono ją *de jure*. Autor sądzi jednak inaczej i wygłasza: że „niema wątpliwości, co czynić należy w celu przywrócenia równowagi w życiu społecznem.“ Po za rózgami brzozowemi nie widzi on lasu, nie chce słyszeć ani o innych przyczynach złego, ani o innych środkach zapobiegawczych. O ile obserwacye p. Jelskiego o zepsuciu ludu są wiarogodne, świadczy np. ten fakt, że uważa on świętokradztwo, jako nową w swej okolicy (gubernia mińska) zbrodnię. Tymczasem przed dwudziestu jeszcze laty, statystyka urzędowa stwierdziła, że świętokradztwo jest przestępstwem, którego ze wszystkich narodowości, wchodzących w skład państwa rosyjskiego, najczęściej dopuszczają się białorusini. Statystyka sądowa znajduje nawet dla faktu tego bardzo prawdopodobne objaśnienie, które p. Jelskiemu prędzej aniżeli komu innemu powinno było przyjść na myśl. Z powodu niedawnej zmiany wyznania, ludność miejscowa nie posiada utrwalonych pojęć religijnych, w pojęciach jej pod tym względem panuje chaos, zwykle zaś okradzenie świątyni obcej uważa się przez złodzieja za prostą kradzież i ten np., który za nic w świecie nie ograbiłby kościoła, bardzo chętnie zrabuje synagogę albo meczet. Tak rozumuje autor rosyjski, dlaczego zaś w ostatnich dwudziestu latach liczba świętokradztw zwiększyła się, p. Jelski po dojrzałym namyśle mógłby mu dopowiedzieć. Zastanowienie się nad tem możeby przywróciło „równowagę“ w umyśle autora, który raz rzuca gromy na nadużycia szlachty w przeszłości, oburza się na katowanie chłopów, niedługo zaś potem zaleca użycie rózgi i dziwaczne swe uwagi kończy bezmyślnym frazesem: *pereat mundus—fiat justitia!* Ciekawa rzecz komu będzie potrzebną *justitia*, gdy świat zginie?

Od tego projektu rogatek brzozowych i rzemiennych, które bronić mają moralności ludu od wtargnięcia złych wpływów, przejdźmy do szlabanów zwykłych. Istnieją one w znacznej liczbie w gubernii lubelskiej, nie wiadomo na jakiej zasadzie, nie kontrolowane przez nikogo, pobierając myto według taksy dowolnej. Przy mostku złożonym z dwóch dylów i kilku poprzecznych desek, stoi budka, w której siedzi żydek—dzierżawca „kopytkowego.“ Przejeżdżający płacą, nie ciekawi, czy też kto pozwolił na urządzenie rogatki, czy jest i jaka taksa, płacą tyle—ile im powiedzą. Jednakże nowsze pojęcia ekonomiczne o szkodliwości tego rodzaju urządzeń znajdują coraz więcej zwolenników między włościanami. Wyznawcy zasady wolnej komunikacyi na propozycyę zapłaty odpowiadają uderzeniem bata i jadą dalej, nie zatrzymywani przez nikogo, co chyba świadczy, że istnienie rogatek nie jest zupełnie legalnem.

Tak czy owak, można wszakże przejechać przez te mosty prywatne, ale trudniej daleko przebyć most przez Wisłę w Iwangrodzie, który ma służyć nietylko dla kolei, ale i dla wygody publicznej. Władza kolejowa nie stawi wprawdzie przeszkód podróżnym, ale na każdy przejazd uzyskać trzeba pozwolenie, które wydaje urzędnik mieszkający w Radomiu! Rozumie się, że przy takiem „ułatwieniu“ nikt przez most dembliński nie jeździ.

Ziemianie z okolic Grójca posiadają stowarzyszenie zabezpieczeń od gradobicia, oparte na wzajemności. Straty wynagradzane bywają w naturze, według z góry określonego rozkładu, przez wszystkich stowarzyszonych, którzy zaraz po żniwach obowiązani są odesłać poszkodowanemu przypadającą na nich ilość zboża w ziarnie i słomy, lub też uiścić odpowiednią kwotę pieniędzy. Szacunku strat dopełniają delegowani z pośród stowarzyszonych.

Związki tego rodzaju zasługują na rozpowszechnienie, ale zdaje nam się, że powinny one obejmować daleko szerszo terytorya, klęska gradobicia spada zwykle nie na jeden majątek, ale na całą okolicę, wtedy wszyscy prawie są poszkodowanymi. Lecz nawet dla stowarzyszonych w obrębie powiatu, jeżeli grad wybił znaczną przestrzeń, zwrot szkody może być uciążliwym. Dajmy na to, że w powiecie znajduje się 100 majątków, jeżeli w 10 grad zniszczył plony, każdy z pozostałych będzie musiał oddać dziesiątą część zbioru, co nieraz jest wprost niemożliwem.

Gazety nasze rozniosły wiadomość o młodym adwokacie, który osiadł na wsi. Nie rozumiem, dlaczego ta wiadomość tak ucieszyła rzeszę kuryerkową. Najprzód ja sam znam kilku adwokatów i to przysięgłych, którzy mieszkają na wsi i chętnie bronią spraw, jeżeli kto im powierzy. Powtóre, dlaczego ma być pożądanem, aby adwokat osiadł na wsi, gdzie nie ma innych sądów oprócz gminnego i gdzie, jeżeli nie

będzie popierał pieniactwa, umrze z głodu. Byłoby do życzenia, ażeby młodzi adwokaci osiadali w miastach prowincyonalnych, tam zwłaszcza, gdzie znajdują się zjazdy sędziów pokoju, ale na wsi? Po to chyba, żeby ułatwić chłopom procesowanie się. Gdyby sądy gminne nie bawiły się w niepotrzebną formalistykę, gdyby nie wciskały gwałtem stosunków życia chłopskiego w ciasne ramki prawa pisanego, włościanin nie potrzebowałby wcale adwokata. Pisma nasze w sprawach tego rodzaju zapominają zawsze o interesie ogółu dla interesu wybranej mniejszości. Dla tego „żeby młodzież nasza miała kawałek chleba“ gotowe są one doradzać np. wprowadzenie do procedury sądów niższych przeróżnych formalności, pisaniny itp. bo wtedy adwokaci znajdą zajęcie. Bardzo to pięknie dbać o młodzież, „która jest nadzieją narodu,“ bardzo słusznie starać się o to, żeby miała ona kawałek chleba, byle tylko kęs ów nie wykrawał się z chłopskiego bochenka.

Nareszcie Łódź doczekała się gimnazyum męzkiego, które będzie już napewno otwarte w 1886 roku, natomiast sprawa przekształcenia wyższej szkoły rzemieślniczej i założenia gimnazyum żeńskiego odłożone zostały do lepszych czasów „dla braku funduszów.“ Dziwnie brzmi to zdanie w zastosowaniu do miasta, posiadającego 150,000 ludności, a w tej liczbie tylu milionerów. Rzeczywiście tak jest jednak i nawet do utrzymania gimnazyum męzkiego rząd dokładać będzie sporą sumę.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 23 lipca.

Powtórzyła się na małą skalę komedya, której zupełne przedstawienie oglądaliśmy przed dwoma miesiącami. Gazety angielskie nastroiły się znowu na ton bojowy, ministrowie odzywali się półsłówkami, dającemi wiele do myślenia, które przy dobrej woli słuchaczów mogły uchodzić za oświadczenia energiczne. Tym razem powód do farsy nazywa się Zulfikar: jest to przesmyk górski, który podobno Anglia obiecała emirowi utrzymać w jego władzy. Rosya dawno już zgodziła się na to, okazuje się jednak, że pragnie utrzymać w swych rękach drogi wiodące do tego przejścia. Ostatecznie jest to drobnostka, o którą w gruncie rzeczy obu stronom nie wiele chodzi, jeżeli zaś gabinet angielski robi tak „wiele hałasu o nic“ — to ma w tem cel inny. Salisbury chciałby poprawić błędy polityki Gladstone'a — byłoby to bowiem najsilniejszym atutem w grze wyborczej, ale błędy te są tego rodzaju, że powetować stratę mogłaby tylko wojna, której czy to konserwatywni czy liberalni anglicy jednakowo lękają się. Trzeba jednak przed wyborami coś zrobić, gabinet więc przybiera marsową postawę, naśladują go przychylne dzienniki, wydymająco do znaczenia „kwestyi“ drobny punkt układów, co do którego można spodziewać się ustępstwa ze strony Rosyi i tym sposobem przywraca się „zachwiana powaga i stracone stanowisko“ Anglii, rozumie się, tylko w oczach łatwowiernych wyborców.

Agitacya wszczęta przez *Pall Mall Gazette*, o ktorej wspominaliśmy w poprzednim numerze, doprowadziła już do pewnych rezultatów. Jakkolwiek bowiem kluby i inne dzienniki starały się przeszkodzić organowi radykałów, jakkolwiek agencye odmówiły sprzedaży dziennika a policya konfiskowała numery na ulicach, jednakże opinia publiczna oświadczyła się stanowczo na jego korzyść i odpowiedni bil wniesiony do Izby gmin został przyjęty. Gazeta w dalszym ciągu drukuje zebrane materyały i śmieje się z groźby procesu, oświadczając, że na liście znanych rozpustników, którą w takim razie ogłosi, figuruje połowa lordów i wielu członków Izby niższej.

Z giętkością zwykłą w polityce stronnictw angielskich zachowawcy zmieniają radykalnie postępowanie w Irlandyi. Prawa wyjątkowe będą zniesione i przygotowuje się bil o stosunkach rolnych, który doprowadzić ma do uwłaszczenia fermerów.

Przywódca radykałów francuskich, Clemenceau miał na zebraniu wyborców w Bordeaux mowę, w której wezwał swoich współwyznawców do otwartego zerwania z oportunizmem i wystąpienia samodzielnie na wyborach. Obawy umiarkowanych, że przy takim rozdziale łatwo zwyciężyć mogą monarchiści, uważa on za nieuzasadnione.

W Hiszpanii odkryto dosyć rozgałęziony spisek republikański, przygotowania do rewolucyi posnęły się już daleko. Okazuje się więc, że tron króla Alfonsa nie stoi na trwałej podstawie, może więc dla wzmocnienia jej zamierza monarcha hiszpański przyjąć tytuł cesarza, o czem rozeszła się w ostatnich dniach pogłoska. Wątpliwa rzecz, czy to wiele mu pomoże.

Król bawarski znowu ma być pozbawiony tronu zupełnie legalnie. Cierpi on lekki obłęd umysłowy, wyrażający się głównie w szalonych wydatkach na różne fantazye artystyczne; lista cywilna nie wystarcza, zaciąga więc ogromne długi. Sprawę tę podniosły teraz gazety niemieckie i prawdopodobnie ukoronowany dziwak odsunięty będzie od rządów, które obejmie jako regent stryj jego lub brat stryjeczny.

W Anamie przywrócony został porządek, tak przynajmniej zapewniają gazety francuskie. W Hue ustanowiony został nowy rząd, złożony z mandarynów przychylnych Francyi.

W Brukselli policya odkryła spisek anarchistów i aresztowała kilku przywódców. Trudno odgadnąć jaki cel miała ta farsa, anarchiści bowiem działają w Belgii zupełnie otwarcie i policya lepiej zapewne zna członków tej nielicznej grupy, aniżeli oni sami znają się pomiędzy sobą i teraz nawet najspokojniej przypatrywała się meetyngowi, na którym kilku zapaleńców z powodu aresztu swych współwyznawców wywracało świat — językiem.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia, rozbierając list papieża do kardynała wikarego, pisze:

„Papież zaleca nietylko erudycyę historyczną i filozoficzną, oraz właściwą naukę i znajomość literatury greków i rzymian, ale i całość t. zw. literackiego wykształcenia, zdobycie piękności formy, blasku stylu, jako środków oddziaływających bardzo na umysły. Filozofię wzięto pod troskliwą opiekę nie dla czczych jednak i jałowych dociekań; otwarto archiwum watykańskie, założono watykańską szkołę, powzięto myśl wydawania dokumentów historycznych, ale nie w celu przedmiotowego zbadania i wyświetlenia tej lub owej strony historyi katolicyzmu, tylko dla dania mu nowego oręża, dla wzmocnienia i odżywienia wiary w sceptykach, dla usunięcia sprzeczności między religią i nauką, dla podniesienia sług kościoła, którzy wtedy tylko będą spełniali należycie swe posłannictwo, kiedy staną na poziomie nauki współczesnej... Krócej mówiąc, zakładają się fundamenta pod katolicyzm naukowy; w celu podniesienia katolicyzmu wzywa się na pomoc nauka, tak samo jak w dziedzinie ekonomicznej patrzała niedawno Europa na inicyatywę skojarzenia katolicyzmu z ideami socyalistycznemi. W obu razach za punkt wyjścia i oparcia służą tradycye kościoła. Nie zastanawiając się nad tem, o ile mają słuszność socyalistyczni katolicy, odszukując pierwowzorów dla swych idej w pierwszych wiekach chrześciaństwa, zwrócimy tylko uwagę na jeden ustęp orędzia, w którym papież wspomina ową dawno minioną epokę barbarzyństwa w Europie, kiedy nauka była wyłącznym dobytkiem klasztorów i duchowieństwa. Wspomniano tu również, i nie bez pewnej alluzyi do chwili obecnej, o Julianie Odstępcy, który prześladując chrześcian, nie dopuszczał, aby poświęcali się zajęciom naukowym, mając nadzieję, że tym sposobem chrześciaństwo pozbawione nauki, nie wzmoże się w siłę i w znaczenie. W praktyce, wedle słów orędzia, odpowiadać ma całości tego zadania seminaryum rzymskie, gdzie otwierają wyższe kursa dla takiej młodzieży, która odznaczyła się szczególnemi zdolnościami i pilnością w czasie odbywania kursu normalnego, ogólny jednak wpływ nowego programu na wykształcenie duchowieństwa katolickiego, i co za tem idzie, wzmocnienie jego potęgi i wpływu wszędzie, gdzie istnieje hierarchia katolicka, nie ulega wątpliwości. Jak partya socyalistów katolickich, wzmacniając się stopniowo, zdobyła w parlamencie niemieckim wybitne stanowisko, dzięki ekonomicznemu omamieniu; tak samo teraz można się spodziewać, że potęga kościoła katolickiego wzmoże się nietylko w walce z wrogiem wymienionym w orędziu, to jest z niewiarą i materyalizmem, ale i na drodze współzawodnictwa z innemi wyznaniami chrześciańskiemi. I pod tym względem zwraca na siebie uwagę to miejsce listu, gdzie jest mowa o studyowaniu literatury greckiej. Literatura ta, są słowa orędzia, przechowała całą żywotność swą u narodów wschodnich, tak w dziedzinie cerkwi, jak w życiu praktycznem. Oto arena dla przyszłych pracowników katolicyzmu, wzbogaconych znajomością świata greckiego. Niedarmo założono szkołę watykańską, aby przysposabiała dobrych robotników, posiadających i wiedzę głęboką i wielką zręczność, a wszystko dla podniesienia powagi kościoła rzymskiego. Takie są—kończy *N. Wremia*—w bladych jak dotąd zarysach kontury nowego arsenału duchownego, obmyślonego przez Stolicę Apostolską. Jeżeli ten ruch naukowy zdobędzie w praktyce żywotność, być może, że w walce ze współczesnym zachodnio-europejskim sceptycyzmem przyniesie on pewien pożytek. Czy jednak tylko o naukowe i chrześciańskie cele tutaj chodzi? Wątpić o tem można, zwłaszcza gdy pomyślimy o tak silnie rozwiniętej, w ostatnich szczególnie latach, działalności katolicyzmu w kierunku Wschodu, o czem nawet wspomina lekko i samo orędzie. Wschód i jego ludność prosta, nieobałamucona przez cywilizacyę, oto najbliższe pole dla przyszłych rycerzy ducha, uzbrojonych potężnym orężem nauki. Gdy jednak na tem polu, a po części i u siebie w domu, wypadnie prawosławnemu duchowieństwu nieraz ścierać się z misyonarzami katolickimi, to należy zapytać: o ile duchowieństwo to pod względem umysłowym i naukowym zdolne jest współzawodniczyć z silnem już łacińskiem, które stać się ma jeszcze silniejszem?“

Nowoje Wremia takiemi uwagami opatruje pobyt następcy tronu niemieckiego w Jarocinie:

„Fakt ten sam z siebie nie przedstawiałby nic nadzwyczajnego — chwilowa wycieczka następcy tronów niemieckiego i pruskiego do swoich dóbr, a potem do majątku pewnego polskiego magnata, kilka grzecznych frazesów, spowodowanych okolicznościami — oto wszystko. Ale zdarzenie to podniesiono już do znaczenia wypadku; następca tronu pruskiego, dziś albo jutro cesarz, sam dobrze mówi po polsku i wyraża pochwałę lub naganę, stosownie do tego, czy kto włada tym językiem lub nie. Ztąd naturalnie cały bukiet nadziei. Ale niestety, następca tronu, podróżujący w charakterze gościa, i Bismark jako pierwszy minister, to dwie wielkości bynajmniej nierówne w obecnych czasach, gdybyśmy nawet przypuścili, że w danym wypadku było coś wię

cej nad prostą grzeczność. Dość przypatrzeć się utyskiwaniom polskich gazet poznańskich na ścieśnienie polskiego języka w szkołach i na niemiły dla polaków pod tym względem system pruskiej zwierzchności szkolnej, uosobieniem której jest niejaki p. Luks, inspektor szkół w okręgu poznańskim. To wszystko nie jest podobnem do przywrócenia polskiemu językowi w Poznaniu znaczenia. Co się zaś tyczy przyszłości, to znowu dzisiejszy następca tronu i przyszły cesarz konstytucyjny — to dwie różne istoty. Pierwszy podróżuje w charakterze prywatnej lubo wysoko postawionej osoby. Drugi w swojej wewnętrznej polityce względem polaków będzie się nieodstępnie powodował interesami monarchii pruskiej, interesami, których najlepszym tłumaczem nateraz jest ks. Bismark; następcy zaś kanclerza chyba nierychło odstąpią od jego, bądźcobądź, szczęśliwej i śmiałej wewnętrznej polityki. Rzecz godna uwagi, że niech Prusy rzucą polakom kilka uprzejmych słów wjakiejkolwiek przypadkowej okoliczności, a natychmiast tracą oni od tego stopnia głowę, pokładają na nich nadzieję, już wnet gotową jest utworzyć się partja pruska, natychmiast przywodzi się na pamięć powinowactwo znakomitego rodu Radziwiłłów z pruską dynastyą itp. Jeszcze niedawno temu, w czasie hałaśliwszego wydalania polaków z ziem pruskich, wyszła broszura d-ra Frenkla, przemawiająca za utworzeniem partyi prusko-polskiej."

Now. Wremia pod napisem „Projekt zupełnego samorządu Galicyi" zamieszcza następujące uwagi.

„W obecnej chwili polacy austryaccy najusilniej intrygują w Wiedniu w celu dobicia się zupełnej autonomii dla Galicyi. Powołują się oni na Chorwacyę, posiadającą, jak wiadomo, rozległe prawa samorządu, i dowodzą, że za lojalność swą względem Habsburgów godni są również uzyskania niezawisłej administracyi. Nadzieje polaków w tym względzie muszą być bardzo bliskie urzeczywistnienia, albowiem niektórzy mówią o tych zmianach, jakoby o faktach spełnionych, dodając otwarcie, że autonomia Galicyi może stać się zawiązkiem, dokoła którego ugrupują się z czasem inne ziemie polskie. Intryga ta prowadzi się przytem bardzo zręcznie. Sami polacy udają, jak gdyby nie pragnęli tak rozległego samorządu, a nawet, jakoby inicyatywa projektu nie od nich wyszła, ale od ich dobrych przyjaciół, członków frakcyi niemiecko-narodowej.

Te intrygi polskie wywołały prawdziwą trwogę wśród rosyjskiej ludności Galicyi. Teraz już ubezwładniona i okrutnie przez polaków ciemiężona ludność ta będzie zmuszona ostatecznie wyrzec się swej narodowości, gdy polacy staną się bezwarunkowymi gospodarzami kraju, a na pomoc dworu wiedeńskiego, tak niegdyś przychylnego rosyanom galicyjskim, nie będzie można liczyć. O tak rozpaczliwem położeniu świadczą artykuły *Prołomu* i *Słowa*."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoła muzyczna. Komitet Towarzystwa muzycznego postanowił otworzyć szkołę z początkiem roku szkolnego. Na co, wobec istnienia konserwatoryum, przyda się ten drugi grzyb w barszczu — trudno odpowiedzieć.

Minimum kredytu w kantorach Banku państwa wynosi 10,000 rubli, jeżeli tak będzie i w oddziale warszawskim, to wielu kupcom i przemysłowcom da się uczuć dotkliwie.

Instytut telegraficzny otwarty zostanie z początkiem roku szkolnego w Petersburgu.

Dziwny wypadek. D. 17 lipca w cyrkule bielańskim nie zameldowano ani jednego wypadku kradzieży, zdarzyło się to pierwszy raz od lat kilku — szczęśliwy cyrkuł!

Reforma. *Kuryer warszawski* dokonał ważnej reformy w administracyi państwowej, przyłączył bowiem stanowczo departament poczt i telegrafów do ministeryum komunikacyi. (Nr. 194 a.).

Reforma notaryatu. Gazety rosyjskie podają wiadomość, że notaryusze mają zostać etatowymi urzędnikami z pensyą 3,000 rs., wszystkie zaś pobierane przez nich dochody pójdą na rzecz skarbu.

Powrót niemców. Koloniści niemieccy na Wołyniu, nie chcąc przyjmować poddaństwa rosyjskiego, emigrują do Austryi lub do Ameryki. Według gazet wiedeńskich w 6 pierwszych miesiącach bieżącego roku wyszło ich około 1,700 osób.

Rochefort, a właściwie za pośrednictwem jego niejaki p. Billing ogłasza, iż mahdi ofiarował rządowi angielskiemu, że za 1,200,000 franków wypuści wolno Gordona. Gabinet Gladstone'a odmówił i Gordon zginął.

Cywilizacya niemiecka. W Bambergu mieszka ubogi ślusarz, pochodzący ze starej rodziny szlacheckiej, której członkowie zmusili go zrzeczenia się własnego nazwiska i przyjęcia nazwiska matki. Teraz jednak i rodzina matki zażądała zmiany i biedny rzemieślnik usłuchał tego dziwacznego rozkazu.

Sądy. Sąd gminny w Wawrze skazał robotnika z fabryki stali na Pradze p. Wajnerta na cztery dni aresztu za zelżenie majstra, który nazwał oskarżonego „polską świnią." Skazany zaapelował od wyroku, bezwątpienia zbyt surowego, zwłaszcza, że zarząd fabryki uwolnił go od obowiązków. Ciekawa to rzecz, że ten prosty robotnik więcej miał poczucia godności osobistej, aniżeli owi przedstawiciele inteligencyi, którzy bezkarnie pozwolili się nazwać „polskimi psami."

Z literatury francuskiej. A Daudet napisał nowy utwór humorystyczny p. t. *Tartarin sur les Alpes*, jest to jakoby dalszy ciąg pracy jego młodzieńczej *Tartarin de Tarascon.*

Proces o oszustwo wytoczono w Wiedniu pismu ultra-katolickiemu i anty-semickiemu *Katolische Gesellschaft*, którego redaktor i wydawca, jak się okazało w toku sprawy, obaj byli żydami. To coś jak u nas.

Obietnica. Wydawca dziennika antysemickiego *Volkszeitung* w Berlinie, które teraz przestało wychodzić, ogłasza, iż zamierza przenieść działalność swoją do Warszawy; obok głupoty swojskiej będziemy więc mieli i importowaną.

Jubileusz. Czasopismo *Schwäbischer Mercur* w Sztutgarcie, najdawniejsze z niemieckich obchodziło dwuchsetletnią rocznicę założenia. Przez dwa wieki należy ono do jednej rodziny Elbenów.

Leśnictwo. Delegat angielskiego towarzystwa leśniczego p. Brown, który przed rokiem zwiedzał kraj nasz, wydał obecnie dzieło p. t. *Forests and forestry in Poland, Lithuania, the Ukraina and the baltic provinces.* Może chociaż od niego dowiemy się szczegółowo o stanie lasów u nas.

Handel ludźmi. Jak wiadomo w Rosyi istnieje liczna kategorya t. z. czasowo-obowiązanych włościan, to jest takich, którzy jeszcze nie spłacili wykupu i są dla tego w pewnej zależności od dawnego pana. Otóż na Kaukazie, podczas licytacyi majątku zbankrutowanego szlachcica sprzedano takiego czasowo-obowiązanego chłopa za 700 rubli.

Spadek po Wiktorze Hugo. W papierach poety znaleziono zupełnie ukończoną komedyę wierszem p. t. *Babka*, dwa niewielkie poematy *La forêt mouillée* i *La legende de l'epée*, dwie niewykończone krotochwile i zbiór zdań, aforyzmów, szkiców ulotnych itd. p. n. *Un tas de pierres*

Statystyka. W r. z. było w Warszawie 38,266 rzemieślników cechowych, w tej liczbie 5,348 majstrów, 12,964 czeladników i 19,954 uczniów. Ogólna wartość ich produkcyi wynosi 32 miliony rubli, wartość narzędzi $1\frac{1}{2}$ a na kupno surowego materyału wydano 17 milionów rubli.

Zmarli. Michał Palacz, włościanin, b. żołnierz wojsk polskich i poseł do sejmu pruskiego w Poznaniu.

— Ludwik Melzner, znany malarz-pejzażysta w Monachium.

— D-r William Veitch uczony helenista, profesor w Edymburgu.

Sprostowanie. W n-rze 28, str. 329, szp. 1 odcinka, w. 13 zam. *pierś* czyt. *pięść;* nr. 29 str. 342, szp. 2 odcinka w. 3 od dołu zam. *Minerwy* czyt. *Ateny;* str. 343 szp. 3. w. 26 zam. „unosi się w świat zwątpienia" czyt. „wnosi zwątpienie w świat."

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Іюля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski